WIADOMOŚCI DUSZPASTERSKIE

oraz

Szkice kazań stanowych

Nr 6/7 Czerwiec — Lipiec 1950

POZNAŃ Rok VI

T R E Ś Ć: Strona

Cena niniejszego zeszytu wynosi zł **150**

Redakcja prosi o natychmiastowe przekazanie tej kwoty blankietem P. K. O. *na nowe konto*
„WIADOMOŚCI DUSZPASTERSKIE"
miesięcznik
Wydawca: Referat Duszpasterski Kurii Metropolitalnej w Poznaniu, Ostrów Tumski 2
P. K. O. V-11333

Wszelkie zaległości do nr. 3/50 włącznie należy wpłacać na stare konto P. K. O. V-4053.

WIADOMOŚCI DUSZPASTERSKIE
oraz szkice kazań stanowych

Nr 6/7 Czerwiec — Lipiec 1950 Rok VI

Ks. dr Edmund Nowicki
administrator apostolski, Gorzów

Duszpasterstwo w świetle kościelnego prawa kanonicznego*)

Środki duszpasterstwa kapłanów

(Por. Wiad. Duszp. Nr IV—V/50)

Jeśli mamy przejść do szczegółów, to na pierwszy plan wysuwa kodeks duszpasterstwo kapłanów. Apostołami i uczniami zajmował się bowiem Chrystus Pan na pierwszym miejscu, ich najpierw starał się utwierdzić w wierze oraz w miłości.

Kapłan ma być ogniskiem, z którego promieniuje miłość Chrystusowa. By zaś ogień nie wygasł, trzeba go stale i starannie podsycać. — Poza tym kapłan nie przestaje być człowiekiem, a zatem dusza jego wymaga przynajmniej takiej samej troski i zachodu duszpasterskiego, jak dusza każdego wiernego.

Zatroskany jest więc kodeks, by kapłani „sanctiorem prae aliis gerant vitam interiorem et exteriorem eisque virtute et recte factis in exemplum excellere" (kan. 124).

Spośród środków, które kodeks każe stosować w duszpasterstwie kapłanów, najważniejszymi są następujące:

1) Rekolekcje i to nie co trzy lata, lecz conajmniej co trzy lata (tertio saltem quoque anno) (kan. 126). Kodeks wymaga tego odnośnie do wszystkich bez wyjątku kapłanów, a zatem konieczna jest kontrola, czy nikt nie uchylił się od udziału w ćwiczeniach ku zgubie własnej i klęsce Kościoła.

2) Konferencje dekanalne nie raz lub dwa razy w roku, lecz saepius in anno, przez co, jak mniemać należy, wypada rozumieć przynajmniej cztery razy w roku (kan. 131).

Celem ich jest łączenie kapłanów w imię Chrystusa: pogłębienie w nauce Bożej i utwierdzenie w świętości.

---

*) Cz. II. referatu wygłoszonego na zjeździe referentów duszpasterskich w Trzebnicy w r. 1948.

Dwie dziedziny wymienia kodeks jako obowiązujące na konferencjach dekanalnych: teologię moralną i liturgikę. Określenie zaś dalszego programu zostawia kan. 131 Ordynariuszowi tak jednak, by osiągnięto cel konferencji „ad scientiam et pietatem clericorum promovendam".

Jak wielką wagę przywiązuje kodeks do tych praktyk wynika z przepisu, by w razie niemożności odbywania konferencji, kapłani na piśmie opracowali tematy według wskazań Ordynariusza (kan. 131 § 2) oraz z wielkiej skrupulatności, z jaką kodeks wymienia kapłanów, którzy zobowiązani są do udziału w konferencjach. Zastrzega mianowicie, że zobowiązani są do tego wszyscy bez wyjątku kapłani świeccy oraz ci zakonnicy, którzy od Ordynariusza otrzymali jurysdykcję do słuchania spowiedzi św., jeśli nie odbywają konferencji we własnych domach (kan. 131 § 3).

Liturgiczne tematy wskazuje kodeks w tym celu, by kapłani przejęli się i żyli duchem Kościoła oraz by czynności święte spełniali z czcią ku chwale Bożej, ku własnemu uświęceniu i zbudowaniu wiernych. Doniosłość tego momentu w duszpasterstwie jest tak wielka, że upomnienia w tym względzie powtarzają się w kodeksie jak to zobaczymy poniżej.

Tematy teologii moralnej utwierdzają prawość sumienia kapłańskiego (ne cum aliis praedicaverim ipse reprobus efficiar) i przypominają zasady prowadzenia dusz po torach przykazań Bożych.

Jak wielką wagę Kościół przykłada do utwierdzenia kapłanów w nauce wiary, wynika z kan. 1340, który obciąża za tę sprawę sumienia Ordynariuszów „graviter onerata eorum conscientia". Prawdziwa bowiem rzetelna wiedza teologiczna łączy silnie z Bogiem, pociąga ku świętości życia oraz pozwala kapłanom promieniować skarbami mądrości, wielkości i świętości Bożej. Sądzę, że referaty duszpasterskie mogłyby pod tym względem dużo uczynić, pobudzając np. do tworzenia bibliotek kapłańskich bądź dekanalnych bądź parafialnych bądź osobistych.

Jako biblioteki kapłańskie parafialne pojmuję zbiory książek zakupione na zarządzenie Kurii za fundusze kasy kościelnej i pozostające własnością kościoła. Wiedzę teologiczną wśród duchowieństwa można propagować również przez podsuwanie konferencjom dekanalnym odpowiednich tematów do referatów i odnośnej literatury. Wskazaną jest rzeczą wprowadzać koreferaty. Przez nie bowiem pobudza się dwóch kapłanów do pogłębienia tematu, a resztę uczestników do dyskusji.

Jeśli kodeks wymienia liturgikę i teologię moralną jako tematy konferencji dekanalnych, to nie zamierza on bynajmniej wykluczyć innych dziedzin. Określenie ich pozostawia Ordynariuszowi.

Poza teologią dogmatyczną, egzegezą, teologią pasterską, homiletyką, katechetyką, pedagogiką, prawem kanonicznym, chciałbym szczególnie wskazać tu na filozofię i nauki społeczne.

Ostatnie zwłaszcza dwie dziedziny stanowią w szerokich kołach duchowieństwa „krainę nieznaną", a właśnie w dobie współczesnej posiadają one znaczenie decydujące.

Wystarczy przytoczyć Anglię, gdzie wielkie talenty twórczych materialistów, jak Wells i Shaw, dokonały tego, iż 1/4 ludności wątpi w istnienie Boga, a młodzież wątpiąca przewyższa dorosłych dwukrotnie, jeszcze większy procent wątpi o boskości Chrystusa, połowa kobiet i 2/3 mężczyzn wątpią w istnienie życia pozagrobowego, a zaledwie 1/10 część ludności uczęszcza na nabożeństwa.

Jeśliby ktoś odpowiedział, że to kraj protestancki, wystarczy wskazać na Francję, Włochy lub Hiszpanię, gdzie religijne przygotowania konających, lub pogrzeb chrześcijański „wyszły z mody".

Druga część konferencji dekanalnych ma być poświęcona „ad pietatem clericorum promovendam".

Kościół zatroskany jest o to, by w myśl zasady „supernaturale supponit naturam" kapłani odznaczali się przede wszystkim prawością i szlachetnością naturalną czyli, jak mówi kan. 124 „recte factis in exemplum excellere".

Do tej dziedziny należy również sprawiedliwość społeczna. — Kościołowi zależy bardzo na tym, by katolicka nauka realizowana na pierwszym miejscu była przez księży. Dlatego upomina kodeks kapłanów, by w tym względzie wiernym przyświecali zwłaszcza w stosunku do pracowników osobistych i kościelnych . . . praesertim clerici . . . debent assignare operariis honestam iustamque mercedem, curare ut iidem pietati, idoneo temporis spatio, vacent, nutto pacto eos adbucere a domestica cura parsimoniaeque studio, neque plus eisdem imponere operis quam vires ferre queant neque id genus quod cum aetate sexuque dissideat (1524).

Dalej Kościół pragnie, by kapłani poza naturalną prawością wznosili się coraz bardziej na wyżyny życia wewnętrznego i promieniowali duchem Bożym. Clerici debent sanctiorem prae laicis vitam interiorem et exteriorem ducere eisque virtute et recte factis in exemplum excellere (124).

Otóż temu zadaniu pielęgnowania w kapłanach naturalnej prawości i życia nadprzyrodzonego poświęcona ma być druga część

konferencji dekanalnej, ta o której mówi kodeks „ad pietatem clericorum promovendam".

Będzie więc to skupienie rekolekcyjne w modlitwie i rozmyślaniu. Jeśli się przy tej okazji dopilnuje, by się kapłani wyspowiadali, wypełni się conajmniej w pewnej mierze nakaz kanonu 125: Curent Ordinarii locorum ut clerici omnes poenitentiae sacramento frequenter concientiae maculas eluant. — Sądzę, że byłoby rzeczą bardzo wskazaną, gdyby w każdej diecezji ustanowiony był zakonnik, który by objeżdżał konferencje dekanalne, wygłaszał egzorty, a następnie zasiadał w konfesjonale. Idealną rzeczą byłoby, gdyby można urządzać w dekanatach dni skupienia, chociażby początkowo w łączności z konferencjami.

Osobnym zagadnieniem w duszpasterstwie kapłanów jest troska o młodych księży, nie tylko dlatego, że idzie tu o dusze kapłańskie w niebezpieczeństwach życia jeszcze nie zahartowane, lecz również dlatego, że pierwsze lata kapłaństwa decydują o całym późniejszym życiu kapłańskim. Należy zatem dbać o to, by proboszcz „eum paterne instruat ac dirigat in cura animarum, ei invigilet et saltem quotannis ad Ordinarium de eodem referat" (kan. 476 § 7) i ponadto „prudenter curet Ordinarius . . . ut in cadem paroeciali domo commoretur" (kan. 476 § 5).

Kościół przykłada w ogólności wielką wagę do błogosławionych skutków wynikających dla dusz kapłańskich z wspólnego życia kapłanów i zachęca do tego w czułych słowach: „consuetudo vitae communis inter clerices laudanda ac suadenda est eaque ubi viget, quantum fieri potest, servanda" (kan. 134). Wiemy, że opozycja wielkiej części duchowieństwa jest tu niestety znaczna, co nie bardzo świadczy dodatnio.

Wspomnę wreszcie, że kodeks przewiduje ważną bardzo instytucję dziekanów, którzy w intencji Kościoła mają być bezpośrednimi duszpasterzami kapłanów dekanatu. Z tego jednak nie tylko wynika, że dziekanami winni być kapłani o głębszym duchu Bożym i bogatszej wiedzy teologicznej, lecz również, że dziekani, aby dobrze sprostali swemu wielkiemu zadaniu, wymagają specjalnej opieki i troski duszpasterskiej.

Trudno w końcu nie wspomnieć o domach księży emerytów i demerytów. — Pierwsze, jeśli wzorowo urządzone, mają wielkie znaczenie dla samopoczucia duchowieństwa i zapobiegają w znacznej przynajmniej mierze tezauryzacji dla zabezpieczenia się na wypadek starości lub choroby. — Domy zaś demerytów są koniecznością, by kapłanów nieszczęśliwych izolować od wiernych oraz by ich podnieść i przywrócić służbie Bożej.

Ks. dr J. Czuj, prof. Uniw. Warszawskiego

Długie czy krótkie kazania

Niejeden kaznodzieja mówiłby lepiej, gdyby nie mówił długo. Rzadko żalą się wierni na krótkość kazania.

Jaki cel mają długie kazania? Zadowolenie samego mówcy, czy słuchaczy? Jeśli pierwsze, to winien mówca zdobywać się na pewną dozę samozaparcia i zapanowania nad sobą; jeśli drugie, to jest mówca w grubym błędzie.

Nie chciałbym wysuwać innych jeszcze ewentualności, jak: brak przygotowania, bezmyślność i brak samokrytycyzmu. Dzisiejsze społeczeństwo nie jest zdolne do słuchania tasiemcowych przemówień. Zaznaczamy, że niniejsze uwagi odnoszą się do normalnych niedzielnych i świątecznych kazań, — nie zaś do wyjątkowych, jak misyjne i rekolekcyjne, odpustowe.

Nie powinno się z dobrą miną liczyć na cierpliwość i pobożność wiernych. Jeśli z trudem i to przez wytężoną pracę przy wrodzonym talencie, zdobywa się pewne doskonałości w wymowie, to krótkość jest w mocy każdego.

Krótkość musi być rozumna, polegająca na tym, że przedmiot mowy wyczerpuje się w określonym czasie. Nadzwyczajna krótkość jest tak ciężka, jak lekka jest nadzwyczajna długość. W żadnym z tych kierunków nie należy się szczególniej odznaczać. Kazania pięciominutowe są bezwzględnie za krótkie, półgodzinne za długie. Winno się więc wybierać między tymi dwoma biegunami.

Jako regułę można by przyjąć — gdy mowa o długości — radę poczciwej matki, która, żegnając się z synem, wyruszającym na pierwszą posadę po prymicjach, powiedziała mu: „Nie zapominaj przestać, gdy jesteś gotowy" — czyli nie mów więcej, jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia. — Niech się kamienie w młynie nie obracają, gdy wszystko ziarno zmielone. Gdyby o tym ludzie pamiętali, to by niejeden w ogóle nie zaczynał, a inny by po paru zdaniach kończył.

Jeśli mówca kościelny ma prawo mówić, to nie mniejsze prawo mają słuchacze usłyszenia od niego czegoś solidnego (por. Żyd. 5, 14).

Kazania nie można mierzyć łokciem ani zegarkiem, jeno wspomnianą prostą zasadą: Przestań, gdyś powiedział, coś miał do powiedzenia. Nie trzeba czekać, aż mowa będzie podobna do onego światełka na lichtarzu, które już ani raz błysnąć nie zdoła.

Do długiego mówienia dałoby się często zastosować mądre a proste francuskie przysłowie: „Słyszę młyn, a mąki nie widzę". Trzeba pamiętać, że bardzo często przychodzą do kościoła ludzie już zmęczeni i jak bywa u nas przeważnie, że nie mają gdzie, ani na czym usiąść, zwłaszcza starsi; a gdy ten i ów wesprze się cokolwiek, to go bierze senność... Należy im zaoszczędzić swej hojności w mówieniu... Chociaż słuchają, bo muszą, jednak to nie jest wystarczającym powodem do przedłużania ich męczarni. Winna być miara odmierzona, żeby miarkowali, kiedy ostatni worek będzie z młyna wyniesiony. Róbmy kazania według sił naszych, ale ich nie przeciągajmy.

W makrologii, czyli w wielomówności gubi się to, co jest dobre i pożyteczne. Żelazo należy kuć, póki jest gorące, ale nie kuć go tak długo, aż oziębnie. Gdy się wbija gwóźdź w deskę, nie można walić młotem bez upamiętania, bo wreszcie deska się rozleci na kawałki i gwóźdź wypadnie.

Gdy się w pierwszej części kazania dobrze „nastawiło" słuchaczy, nie trzeba się w drugiej części silić, by ich pozbawić tego „nastawienia". Wystarczy mówić tak długo, dopóki słuchający czują siłę prawdy; i póki tak jest, winien mówca myśleć o zakończeniu. Ale cóż doradzać takim mówcom, których kazania nigdy nie robią wrażenia? Chyba tyle, by mieli przed sobą zegarek i po 15—20 minutach bezwzględnie mówili „Amen".

Mówca-ględziarz podobny jest do podróżnego, który znalazł się w dużym mieście i zwiedza je bez przewodnika; nie może sobie dać rady, kręci się wkoło i wciąż wychodzi na ten sam plac, z którego zaczął zwiedzanie. Wiadomo też z doświadczenia, że nieraz w nocy, albo wśród zawiei w zimie „wodzi" człowieka, iż chodzi wkoło, i nie może dobić do celu podróży. — Był naiwny władca i wódz, a nazywał się Kserkses, który kazał biczować morze i właściwie tym się tylko wsławił, bo wojnę przegrał. Azali niejeden mówca nie biczuje powietrza i schodzi z mównicy jako — że użyjemy tej formy — „przegrany"? Oczywiście nie przygotował się taki mówca, niepomny przysłowia: „Qui ascendit sine labore, descendit sine honore".

Niechże kaznodzieja — zwłaszcza młody — pamięta, że na ten temat, który omawia, będzie miał możność jeszcze nieraz mówić, i że nie zachodzi jakowaś bezwzględna konieczność powiedzenia w tej chwili wszystkiego, co w tej materii da się powiedzieć. „Wyczerpujące" kazania nie uszczęśliwiają wiernych. Wszak Boski nasz Mistrz nie powiedział wszystkiego w jednym kazaniu, ale przez trzy lata nauczał!

Najlepiej tyle powiedzieć, ile „przeciętny" słuchacz może pojąć i zapamiętać bez wielkiego wysiłku. Jak nie odrazu Kraków zbudowano, tak i wszelkiej prawdy nie można w jednym kazaniu nauczyć. Nie kuśmy się mówić za każdym razem wszystko, co wiemy. Niech jakiś jeden pierożek zostanie do następnego obiadu.

Gdyby się nawet musiało wypowiedzieć wszystkie myśli, które wydawały się bardzo ważne podczas opracowywania tematu, to nie ma potrzeby opisywania wszystkich perypetii myślowych, przez jakie dochodziliśmy do tak ważnych wniosków. Można mięso położyć na stole, ale nie musi się równocześnie przynosić rożna, ognia, noża i widelca.

Gdy opisujemy jakąś okolicę, nie musimy wyliczać wszystkich wzgórz i rzek, wsi i wiosek — i słuchacze wcale nie zauważą, żeśmy coś opuścili, a zapewne będą zadowoleni, żeśmy dość szybko przestrzeń tę przemierzyli. Powiedzmy nieco inaczej: Nasi słuchacze nie przyszli po młocarnie, ani po młyny, ani po dzieże albo piece chlebowe, jeno po chleb. Przeto jakże mądrze rozumuje autor drugiej księgi Machabejskiej: „Wyrozumienie zebrać i mowę uporządkować i ciekawiej każdą poszczególną część rozbierać przystoi autorowi historii; ale trzymać się krótkości mowy i unikać przedstawiania wykonania rzeczy, skracającemu należy dozwalać" (2 Mach. 2, 31—32).

Nie zaszkodzi też pomyśleć czasem, że nasze kazania nie są tak drogocenne dla naszych słuchaczy, jak się nam wydaje. Nie wszyscy muszą się zachwycać tym jedynym dzieckiem, które im rodzice pokazują, jako coś nadzwyczajnego. Kaznodzieja — zwłaszcza młody — winien być tak rozumny, jak owi rodzice, którzy mają dziesięcioro dzieci i dlatego nie uważają ich za cuda. Może gdzie indziej lepszych kazań słuchają wierni; nie ma zatem podstawy do zabierania ludziom dużo czasu na pokazywanie im naszego wyczynu. Mówmy, co mamy powiedzieć; mówmy z całego serca, ale nie bawmy się tematem, jakbyśmy jedynie byli, którzy go dobrze opracować potrafią.

Nie ma też potrzeby zasłaniać się mnogością kwestii, związanych z naszym tematem, albo z tekstem przewodnim. Znamy zasadę: „Qui nimis probat, nihil probat" — kto chce za dużo nauczyć, niczego nie nauczy, ale narobi bigosu i zostawi chaos. Pozwólmy — niech prawda, zawarta w tekście, sama się troszczy o siebie, bez pomocników i adlatusów. Prawda na ogół zrozumiała, nie może być obstawiana i strzeżona, jeśli ma oddziaływać.

Nieraz prędzej słuchacze zauważą jakieś twierdzenie, na którym mówcy zależy, gdy nie jest ono powiedziane zbyt dokładnie, a wyrwane z kontekstu, mogłoby budzić wątpliwości. Mamy na to przykład u Zbawiciela, gdy mówi o niemożliwości, by bogacz dostał się do królestwa niebieskiego (Mt. 19, 24), albo że mamy obowiązek dawać każdemu, kto prosi (Łk. 6, 30). Gdyby te prawdy nie były tak postawione, mogły nie być zauważone. Prawda nie potrzebuje ani zbroi, ani osłony, bo jej zranić nie można; najlepiej sama się broni.

Gdy się mówi o jakimś punkcie nauki, to należy go jasno i dokładnie określić; na inne punkty przyjdzie czas kiedy indziej. Lepszy jeden strzał celny niż seria strzałów chaotycznych.

O rozwlekłość nie można posądzać Ducha św.; pochodzi ona od człowieka, który za mało ma sił duchowych. Popatrzmy — modlitwy i przemowy, mające w sobie pełnię mocy Boskiej, nigdy nie są długie. Weźmy choćby nasz „pacierz". W jednej wypowiedzi Pana Jezusa więcej jest treści, niż w naszym godzinnym, ułomnym mówieniu.

Jeśli Duch Boży każe dłużej mówić, mowa nie będzie za długa. Wtedy kazanie jest za długie, gdy ludzie odczuwają, że ich ono męczy; bo nawet długie kazanie nie jest długie, jeśli sobie ludzie życzą, aby jeszcze dłużej trwało. I tu zrozumiemy tajemnicę powodzenia kazań nawet bardzo długich u wielu Ojców Kościoła jak np. u Augustyna, Bazylego W., Jana Chryzostoma itd.

Niemniej jednak — w naszych czasach i warunkach — należy możliwie krótko mówić, a treściwie. Jeśli się znalazło pewną liczbę dobrych myśli, to należy je razem przygotować i zrobić pożywny, skondensowany ekstrakt. Rozwadnianie nikomu nie imponuje; przeciwnie narzeka się na kobiety, przynoszące mleko do miasta, na restauratorów itp. — że mają brzydki zwyczaj dolewania wody.

Gdy zapraszasz kogoś na obiad lub wieczerzę, to nie przynosisz na stół całego bydlęcia, ale dobrze przyrządzoną pieczeń; tak powinno być na naszych ucztach duchowych i kościelnych. Przynajmniej taką samą miarą mierzmy duszę, jaką mierzymy ciało.

Zwięzłość kazania zyskuje, jeśli wyklucza się każdą zgłoskę, mającą służyć tylko za ozdobę. Gdy się świecidełka i fatałaszki wyrzuca za burtę, zostaje na okręcie więcej miejsca dla cennego

ładunku. Wplatanie obcych, zagranicznych nazwisk w kazanie nie musi koniecznie świadczyć o szerszym oczytaniu mówcy; jak też przytaczanie hebrajskich, greckich lub łacińskich wyrazów o jego wyższym wykształceniu. Prości ludzie chcą słyszeć słowo Boże.

Można być wielce uczonym, a mniej się tym popisywać; ludzie to bez tego wyczują i wymiarkują. A może się zdarzyć, że akurat gdzieś tam w kącie jakiś starszy człowiek uśmiecha się z owej uczoności kaznodziei, bo on te rzeczy bez porównania lepiej zna niż mówca.

Wielosłowność i łatwość mówienia jest u niektórych ludzi chorobą.

Słyszy się nieraz kaznodzieję, który się nie zatnie, któremu słowa płyną potokiem, ale on nie jest mówcą. Przy takiej płynności właśnie grozi rozwlekłość, której prawdziwy mówca winien się bardzo obawiać. I choćby znów u innego piękne były słowa, to cóż z tego, skoro kwiatkami nikt się nie pożywi.

Trafi się mistrz, co to z małego kawałeczka mięsa zrobi całą wazę zupy, ale pytanie, czy ta zupa będzie pożywna? W półgodzinnym przemówieniu może być myśli na pół minuty; gdyby się chciało ścisnąć w garści całą treść, okazałoby się, że nie ma nic! — Nie ulega wątpliwości, że najpospolitszą — jeśli tak rzec można — przyczyną rozwlekłości i ględzenia jest brak przygotowania. Nieraz kilka razy zdaje się, że mówca dobija do brzegu, bo nawet zapowiada, że kończy — ale złudne są nadzieje słuchaczy; on nie kończy, bo nie wie, jak skończyć, a chce skończyć efektownie. Tu jedynym, zbawczym słowem, które położy kres obopólnej męce, będzie sakralne „Amen".

Oby te skromne uwagi przyczyniły się choć w drobnej mierze do tego, by forma naszych kazań godniejsza była wielkiej, boskiej treści, której kapłani są urzędowymi i zawodowymi głosicielami.

Ks. dr H. Bednorz, Katowice

Kazania katechizmowe

Na wszystkich ambonach polskich wygłasza się obecnie k a z a n i a k a t e c h i z m o w e, według planu ułożonego przez homiletyczne środowisko w Kielcach, a ogłoszonego po aprobacie Najdost. Episkopatu Polski drukiem u schyłku 1947 r.

we Współczesnej Ambonie (zob. Nr 6, str. 889). Kazania te są ogromnie ważne, gdyż, jeśli są gruntownie, w oparciu o solidne studium teologiczne przygotowane, mogą naprawdę pogłębić i poszerzyć znajomość katolickich zasad religijnych i moralnych wśród rzesz wiernych. Zdaje się, że stanowczo za mało uświadamiamy sobie ważność tych kazań. Gdyby inaczej było, to napewno odnajdywalibyśmy w katolickich czasopismach teologicznych jakieś aktualne artykuły, związane z tymi kazaniami, np.: „Jak przezwyciężyć trudności, jakie nasuwają się przy wygłaszaniu systematycznych kazań katechizmowych?", lub na inne tematy. Chciałbym tylko wskazać na jedną trudność, jaka nasuwa się w związku z tymi kazaniami.

Ks. Michonereau, jeden z bardzo wybitnych współczesnych duszpasterzy francuskich, ujął ją na kongresie duszpasterzy francuskich, w 1947 r. w Bordeaux w słowach: „boję się, że jesteśmy trochę zdeformowani przez naszą teologię" (Évangélisation 1947, Congrès de Bordeaux, Paryż 1947, 48). Wiadomo, że teologia ujmuje całą naukę objawioną Chrystusa Pana w sposób systematyczny, jak najbardziej logicznie związany, nie dopuszczając do głosu serca ludzkiego. Inaczej zresztą być nie może, jeśli teologia ma być nauką. Tymczasem kaznodzieja, chcąc wiernych poruszyć do życia katolickiego, musi trafić także do serca swoich słuchaczy. Argumentacja jego zatem musi być nie tylko logiczna, lecz także psychologiczna, co szczególniejsze ma znaczenie u nas w Polsce. Zdajemy sobie sprawę, że przy systematycznych kazaniach katechizmowych ten sposób argumentowania nie jest łatwy. Niezależnie jednak od tego musimy się go podjąć dla dobra powierzonych nam dusz. Kwestię tę uwzględnia t. zw. teologia kerysmatyczna, u nas jeszcze mało znana, jakkolwiek jest ona ogromnie potrzebna, zwłaszcza przy opracowaniu kazań katechizmowych. Wtedy najłatwiej wpaść w ton suchej rozprawy teologicznej, czy może też nudnej lekcji szkolnej, które bynajmniej nie zdołają pobudzić do prawdziwego życia katolickiego. Każde kazanie katechetyczne, i te, które omawiają dogmatyczne podstawy chrześcijaństwa, powinny mieć jako spontaniczny wydźwięk, oddziaływanie na całą postawę życiową wiernych — na konkretny czyn katolicki. Kazań czysto pouczeniowych właściwie nie ma. Strzeżmy się także mówienia zbyt apologetycznego. Ważniejszą jest rzeczą budzić umiłowanie wiary, niż rozwiązanie niezliczonych zarzutów, jak to wskazał ks. dr Piskorz (Nauka pasterzowania, Kielce 1939, t. I, 264 i nast.)

Jeden z najtęższych uczonych polskich, śp. ks. prof. Michalski (zob. Między heroizmem a bestialstwem, Kraków 1949, 91), zwrócił na to samo uwagę, pisząc: „Nie pojęcia jasne odgrywają dzisiaj najważniejszą rolę, lecz obrazy, czy symbole, napełnione uczuciem i otoczone rojem marzeń na przyszłość”.

Będziemy o tym pamiętali, wygłaszając systematyczne kazania katechizmowe. Damy w nich jasno ujętą naukę katolicką, ale przepoimy ją także gorącym uczuciem.

Kazania te moglibyśmy pogłębić, omawiając je jeszcze raz, oczywiście najlepiej z innego punktu widzenia, na nabożeństwach stanowych i w organizacjach katolickich, zwłaszcza w różnych bractwach, na zebraniach, na których i tak zawsze wygłaszamy jakąś naukę.

Dyskusja, jaka by się rozwijała na tle tych nauk, pogłębiłaby w znacznej mierze znajomość prawd podstawowych wiary i moralności chrześcijańskiej. W nawiązaniu do tych dyskusji zachęcimy wiernych do czytania biblii i katechizmu oraz do studiowania jakiejś książki, która dane zagadnienie szerzej omawia.

W diecezji katowickiej istnieje od pewnego czasu zwyczaj, że wszystkie zebrania jakichkolwiek organizacji religijnych rozpoczyna się t. zw. kwadransem katechizmowym. Niezależnie więc od tematu, jaki ma być omówiony na danym zebraniu, czyta i komentuje się systematycznie zasadnicze prawdy katechizmowe.

Przed kilku miesiącami odbył się w Paryżu tydzień katolickich intelektualistów. Tematem naczelnym wykładów i dyskusyj była „La primauté de la foi”. Z niej wypływają poszczególne przepisy moralne, a nie odwrotnie, jak tego pragnie protestantyzm anglosaski. Z wiary rodzi się jedność myślowa katolików różnych narodowości, zawodów itd.

Maritain podkreślił, że wiara zajmie w życiu naczelne miejsce pod warunkiem, że będzie dostatecznie znana. Stąd obowiązek głoszenia zasad wiary, który w pierwszym rzędzie ciąży na kapłanach duszpasterzach. Wszystkie nasze wysiłki w tym kierunku sprowadzają się właściwie do systematycznej katechizacji świata dziecięcego, ludzi dojrzewających i dorosłych. Będzie nam wtedy chodziło nie tyle o teoretyczne pouczenie wiernych, ile o urobienie ich według zasad religijności i moralności katolickiej.

Ks. W. Sitek

Jak ożywić uroczystość odpustową

Odpust dobrze urządzony pogłębia życie religijne, zmienia postępowanie, a w rezultacie odnawia duchowe oblicze parafii.

Prawo kościelne w kanonach 911 do 936 wskazuje na instytucję odpustów, wylicza rodzaje oraz warunki ich pozyskania. Gorliwość pasterska dokona reszty: tak wykorzysta sposobność i rozprowadzi błogosławione wody łask odpustowych, by obmyły jak największą liczbę dusz, naszej pieczy powierzonych. Oczywista, iż ten tylko dostąpi odpustu, kto jest w stanie łaski uświęcającej. Musimy więc ułatwić parafianom zdobycie łaski uświęcającej przez udostępnienie im spowiedzi.

Nadto powinniśmy przyjść z pomocą duszom czyśćcowym (per modum suffragii) (can 911).

W wigilię uroczystości, o ile rubryki na to pozwalają, urządzamy nabożeństwo żałobne za zmarłych, na całość którego złożą się wigilie, msza św., egzekwie. Poprzedzone ogłoszeniem przez kilka z rzędu niedziel wraz z wyjaśnieniem istoty, warunków i potrzeby odpustu, zgromadzi niewątpliwie licznie parafian. Przed rozpoczęciem nabożeństwa żałobnego duszpasterz w ciepłych do nich przemówi słowach: o potrzebie, znaczeniu i obowiązku modlitwy za zmarłych, a w szczególności za najbliższych.

Uroczystą mszę św. mogą zależnie od warunków lokalnych poprzedzić wigilie, a po niej przy katafalku ukwieconym, rozjarzonym światłem świec, zaleca się odprawić egzekwie. Przy poleceniu modlitwom wiernym wymieniamy nazwiska duszpasterzy, którzy „śpią snem śmierci", dobrodziejów kościoła, zasłużonych parafian.

Nic tak nie łączy parafian z kościołem parafialnym, i lepiej nie uzmysławia prawdy o świętych obcowaniu, nie przekonuje, iż proboszcz jest właściwym ojcem, pamiętającym i o ich najbliższych, którzy odeszli, — jak troska o modlitwę za zmarłych!

W godzinach popołudniowych tegoż dnia, urządzamy spowiedź ogólną. Przed spowiedzią, jak w ogóle, każdą zbiorową, przygotowujemy penitentów z ambony, rozbierając poszczególne warunki sakr. pokuty.

Po przygotowaniu, co ułatwi rzecz znacznie i skróci czas, zaczynamy pracę oczyszczenia.

Podczas świętej skruchy, o oznaczonej godzinie zaczynamy pierwsze nieszpory z wystawieniem N. Sakr., kazaniem i procesją. Wszyscy księża biorą w niej udział, a jeśli wypadnie wieczorem — należy nieść

dużo światła. Dobrze jest poprosić wcześniej, aby każdy przyniósł gromnicę, świecę własną.

Po skończonych nieszporach zarządza się krótką przerwę. Księży prosimy na herbatę.

Ponieważ dużo penitentów, zwłaszcza po miastach, przychodzi wieczorem, należy z góry poprosić kilku najbliższych księży sąsiadów na nocleg, aby dać możność spowiadania się u obcych naszym Nikodemom (rankiem zdążyliby do siebie, o ile jest niedziela).

Nazajutrz na rannej mszy św. — krótkie przemówienie o potrzebie życia łaski; zachęcimy do wytrwania, nawiązując do osoby Patrona uroczystości, odmówimy akty przed kom. św. — i rozdamy kom. św. wzdłuż kościoła.

Sumę urządzamy najuroczyściej — możliwie z asystą. Ołtarz stroimy kwiatami, obraz Patrona wieńcem. Portal kościoła — ozdabiamy girlandą, zielenią. Kazanie musi być koniecznie płomienne, zdolne ziemię poruszyć. Sprowadzamy dobrego kaznodzieję. Ludzie łakną słowa Bożego, specjalnie przychodzą z różnych, odległych parafii posłuchać odpustowego kazania, nie możemy zawieść oczekiwania.

W oznaczonej godzinie drugie nieszpory z wystawieniem Najśw. Sakramentu, kazaniem i procesją.

Jest zwyczaj na Śląsku, że wszyscy śpiewają „Te Deum" po polsku. Piękny zwyczaj, godny naśladowania.

Ożywić uroczystość odpustową — znaczy zdobyć się na ducha gorliwości i trud kapłański.

Ożywić uroczystość odpustową — znaczy wlać i rozszerzyć zasięg życia łaski, ucieszyć czyściec i pokrzepić wiernych.

P. T. Duszpasterzy Redakcja prosi o przysłanie Swoich uwag odnośnie powyższego artykułu, ewent. do druku w następnych numerach „Wiadomości Duszpasterskich".

Ks. Marian Peryt, Melgiew

Z dziedziny prawa kanonicznego

Forma substancjalna małżeństwa i małżeństwa potajemne, jako przypadki praktyki duszpasterskiej

1. Do ważności małżeństwa, zawartego według przepisów religijnych, wymagana jest forma substancjalna. Polega ona na tym, że za ważnie zawarte uważa się tylko takie małżeństwa, przy których asystował miejscowy biskup, miejscowy proboszcz, lub kapłan przez nich delegowany oraz, gdy przy obrzędzie małżeństwa było obecnych

przynajmniej dwóch świadków (can. 1094). Należy przy tym pamiętać, że świadkowie przy obrzędzie małżeństwa muszą być obecni fizycznie i razem, moralnie mają być świadomi treści dokonywującego się obrzędu oraz powinni być formalnie użyci, czyli wezwani do świadczenia przy ślubie. Dlatego też należy zwracać uwagę, by świadkowie ślubu nie byli w stanie zamroczenia, gdyż w takim stanie nie byliby zdolni zaobserwować istoty rzeczy, a w następstwie nie mogliby świadczyć o zawarciu ślubu małżeńskiego.

Od ogólnej zasady, wyrażonej w przepisach can. 1094 są jednak pewne wyjątki. Jeśli bowiem istnieje wielka niedogodność, t. zn., gdy nie można mieć na miejscu kapłana (proboszcza, ordynariusza, kapłana delegowanego), lub nie można udać się do nich, by asystowali przy ślubie, wówczas gdy istnieje: a) niebezpieczeństwo śmierci oraz b) poza niebezpieczeństwem śmierci, gdy można przewidzieć, że stan niedogodności będzie trwać przez miesiąc — ważnym będzie małżeństwo zawarte wobec samych świadków (can. 1098).

Z prawa natury ważne są małżeństwa zawarte całkowicie potajemnie, jednak Kościołowi przysługuje prawo domagania się, by do ważności małżeństwa była konieczna forma uroczysta, ponieważ wówczas łatwiej jest stwierdzić istnienie zgody na małżeństwo i swobodne jej wyrażenie.

2. Rozważając sprawę małżeństw potajemnych, należy dobrze uprzytomnić sobie subtelną różnicę, jaka zachodzi w nazwie i treści małżeństwa potajemnego (matrimonium clandestinum) i małżeństwa ukrywanego (matrimonium conscientiae) małżeństwa sumienia. Na ogół bowiem w mowie potocznej istnieje tendencja, by te dwie formy małżeństwa ze sobą utożsamiać. Różnice, jakie pomiędzy tymi dwoma formami zachodzą, wykazują najlepiej, która forma nadaje ważność małżeństwu, a która je tej ważności pozbawia.

Małżeństwo potajemne (matrimonium clandestinum) jest to małżeństwo zawarte bez asystencji proboszcza i bez obecności świadków. Przy takim małżeństwie narzeczeni wyrażają wprawdzie zgodę na małżeństwo, ale brak jest tutaj formy substancjalnej i dlatego stosownie do postanowień Soboru Trydenckiego, przyjętych w dzisiejszym prawie kanonicznym, małżeństwo w ten sposób zawarte jest nieważne (Conc. Tridentinum, s. XXIV. c. „Tametsi").

Małżeństwo ukrywane, sumienia (matrimonium conscientiae) ma miejsce wtedy, gdy jest zawarte bez zapowiedzi, ale wobec proboszcza i świadków. Dopuszczalne jest ono tylko dla przyczyny bardzo ważnej i bardzo naglącej, za zezwoleniem ordynariusza, wikariusza generalnego ex speciali mandato i wikariusza kapitulnego (can. 1104).

Ponieważ małżeństwo tego rodzaju nie może być zapisane w zwykłej księdze małżeństw i ochrzczonych, lecz w księdze osobnej, przechowywanej w tajemnym archiwum Kurii Biskupiej (can. 1107), przeto wszystkie osoby, które powzięły wiadomość o zawarciu małżeństwa sumienia, winny o tym fakcie zachować tajemnicę (can. 1105), a sami małżonkowie muszą się poddać rygorom, wynikającym z przepisów can. 1106, które nakazują małżonkom ochrzczenie dzieci z ich małżeństwa zrodzonych, nadanie im prawdziwych nazwisk oraz dbałość o chrześcijańskie wychowanie tych dzieci.

Jak wynika więc z powyższych przepisów, małżeństwo sumienia zawiera się zgodnie z obowiązującą formą substancjalną, lecz skrycie, bo tylko osoby przy akcie ślubu obecne o tym małżeństwie wiedzą i o nim muszą zachować tajemnicę. Na zawarcie małżeństwa sumienia może być udzielone pozwolenie tylko osobom nieskazitelnych obyczajów oraz po usunięciu przeszkód małżeńskich, gdyby takowe zachodziły.

3. W praktyce duszpasterskiej można się spotkać z dwoma konkretnymi wypadkami, odnośnie małżeństwa potajemnego:

a) Osoby, które zawarły ze sobą cywilny ślub, stwierdzają przy okazji, że ślubu w kościele nie brały, ale wyrażają przekonanie, że ich małżeństwo cywilne jest równocześnie i małżeństwem religijnym, ponieważ ślubowały sobie nawzajem pożycie małżeńskie według przepisów religijnych. Osoby te należy uświadomić, że pomimo najlepszego i najgłębszego z ich strony przeświadczenia, małżeństwa religijnego pomiędzy nimi nie ma, a będzie to małżeństwo dopiero wtedy, kiedy zostanie zawarte w obliczu Kościoła (in facie Ecclesiae) t. j. w asystencji proboszcza i wobec dwóch świadków.

b) Zdarzyć się może, że dla celów osobistych, bez podania przyczyny bardzo ważnej i bardzo naglącej, osoby, które zawarły cywilny ślub, pragną jak najśpieszniej zawrzeć również religijny związek małżeński, ale przewidując różne, najczęściej urojone, dla siebie niedogodności, pragnęłyby religijny obrzęd małżeństwa zachować w tajemnicy, czyli pragnęłyby zawrzeć małżeństwo sumienia.

Kościół zawsze utrudniał zawieranie takich małżeństw i tylko w wyjątkowych wypadkach na nie pozwalał. Ponieważ cywilne ustawodawstwo małżeńskie, w art. 37. dekretu z dn. 25. IX. 1945 r. o prawie małżeńskim stwierdza, że strony zawierające małżeństwo nie są pozbawione możności dopełnienia również obrzędów, wynikających z ich należenia do związków religijnych (Dz. U. R. P. Nr 48. poz. 270), przeto należy stwierdzić, że nie ma przyczyn, które by były motywem do zawarcia małżeństwa sumienia. Każdy bowiem, kto chce zawrzeć religijny związek małżeński, nie jest tej możności przez prawo

pozbawiony i może zawrzeć małżeństwo religijne według tych przepisów, które odnoszą się do zawarcia małżeństwa jawnie i publicznie. Nie uzasadnione zastrzeżenia osób zainteresowanych nie mogą być brane w rachubę i dlatego obowiązkiem duszpasterza jest poinformowanie tych osób o istotnym stanie rzeczy i o właściwym sposobie postępowania w tych sprawach.

Ks. dr H. Bednorz

Jeszcze jedna powieść o duszpasterzach

Bruce Marshall — „Chwała córy królewskiej"

I.

Człowiek współczesny, zanim rzetelnie rozpocznie czytanie wybranej przez siebie powieści, liczącej nieraz kilkaset stron druku, na ogół wertuje ją, rzuca okiem na różne jej urywki, zatrzymując się zazwyczaj nad zakończeniem książki, jako że tam mieści się kwintesencja — rozwiązanie całej przydługiej zwykle fabuły powieściowej. Od tego, jak mu się to zakończenie będzie podobało uzależni swój sąd: czy warto zabrać się do czytania danej powieści, czy też innej poszukać rozrywki, lub pouczającego studium.

Wziąwszy do ręki książkę Bruce Marshalla p. t. „Chwała córy królewskiej" (przekład z angielskiego, Warszawa 1949), zauważamy, że autor w ostatnich rozdziałach przedstawia trzy sceny śmierci: biskupa James Michael Gabriela, kanonika Smitha oraz pogrzeb ks. prałata O' Duffyego. Wszystkie trzy wypadki zakończenia życia kapłańskiego, wzgl. biskupiego, są nie tylko realistyczne, lecz także nadzwyczaj budująco i pozytywnie przedstawione. Już z tego wolno wysnuć wniosek, po jakiej linii będzie autor w całej powieści opisywał życie tych duszpasterzy, gdyż, jak ś. p. ks. prof. Michalski napisał, śmierć jest odbiciem całego poprzedniego życia. (zob. „Między heroizmem a bestialstwem", Kraków 1949). Uświadamia to sobie nie tylko filozof, lecz przede wszystkim powieściopisarz, mający ambicję być dobrym psychologiem.

Cała akcja, przedstawiona w tej powieści, obejmuje stosunkowo długi okres lat 1908 — 1942. Jest ona nakreślona w 35 krótkich rozdziałach, z których każdy obejmuje zaledwie kilka stronic druku. Już to pozwala nam stwierdzić, że w książce tej nie ma obszernych opisów krajobrazowych, ani też bardzo szczegółowych analiz psychologicznych, w które dawniej obfitowały powieści. W niektórych częściach książka pisana jest stylem telegramowym, a może raczej sposobem filmowym. Autor nie objaśniając wiele, nie bawiąc się w dłuższe dociekania filozoficzne, rzuca na papier szereg następujących po sobie obrazów, zwykle ogromnie ożywionych, które całą akcję posuwają szybko naprzód. Nieraz nawet odnosi się wrażenie, że autor operuje formą reportażów, dobrze zestawionych.

Szkicuje on w ten sposób wszystko, co w Szkocji — gdyż tam odbywa się cała akcja — było aktualne i modne, w wyżej wzmiankowanym czasie, zwłaszcza w ostatnim okresie międzywojennym.

Bohaterem głównym książki jest ks. Smith, sprawujący duszpasterstwo w szkockiej diasporze katolickiej. Pracuje on w bardzo trudnych warunkach, w ośrodkach, w których katolicy zawsze stanowili znikomą mniejszość, rekrutując się ponadto przeważnie z elementów ludzkich nieosiadłych, lecz napływowych, głównie z biednych Irlandczyków i Włochów.

Ks. Smith prowadzi uporządkowane życie wewnętrzne, religijne i moralne. Jego cnoty nadprzyrodzone opierają się o zdrowe podłoże cnót naturalnych. Ułatwia mu to prowadzenie doskonale zdyscyplinowanego katolickiego życia moralnego i religijnego. Pielęgnuje on zwłaszcza życie modlitewne, opierając swoje życie osobiste i pracę duszpasterską o pomoc łaski Bożej.

Z całego tego życia głęboko religijnego i mocno umoralnionego wyrasta jego stosunek do ludzi i świata, który jest poważny, a równocześnie radośnie afirmatywny, jak zaznaczył to Zygmunt Kubiak (zob. art. jego: Walka o radość, Dziś i Jutro 1949, nr 47).

Autor nie przedstawia ks. Smitha — a podkreślamy to jako wielką zaletę książki — jako typu zupełnie już wykończonego, powiedzmy świętego. Bohater powieści Marshalla jest bardzo ludzki, gdyż widzimy go czasem niecierpliwego, któremu trudno znosić niejedno upokorzenie, marzącego o odznaczeniach, pragnącego być popularnym itd. Słabostki te jednak nie oddalają ks. Smitha od nas, lecz wręcz przeciwnie — jeszcze bardziej go do nas zbliżają, ukazując nam postać nawskroś żywą. Dzięki tym właśnie słabostkom poznajemy ks. Smitha jako męski typ realny, chodzący po ziemi, który w zmaganiu ze swoimi słabostkami powoli wewnętrznie dojrzewa, a potem umiera na skutek ran poparzeniowych, odniesionych w czasie nalotu na jego kościół, akurat w chwili ratowania Najśw. Sakramentu. I w tym znaczeniu powieść Bruce Marshalla jest bardzo realistyczna. Nie opisuje też autor w kolorach przejaskrawionych słabostek kapłanów, robiąc z księży straszliwe karykatury, jak np. uczynił to Jan Wiktor w powieści p. t. „Zbuntowany" (Warszawa 1948).

Czytając angielski tytuł powieści „All glorious within", który jest wzięty z psalmu XLIV, wiersz 14 „Omnis gloria eius... ab intus", można przypuszczać, że autor będzie opisywał i analizował życie wewnętrzne swego głównego bohatera ks. Smitha, podobnie jak to przed nim uczynił Bernanos w swoich powieściach o kapłanach, zwłaszcza w „Pamiętniku proboszcza wiejskiego". W rzeczywistości jednak tak nie jest. Jerzy Bernanos stworzył typ kapłana-duszpasterza introwersyjnego, podczas gdy Bruce Marshall usiłował dać obraz kapłana-duszpasterza ekstrawersyjnego, podobnie jak to przedtem był uczynił Archibald Józef Cronin w powieści „Klucze królestwa". Istnieje coprawda pewna różnica między bohaterem głównym Cronina ks. Chisholmem, a postacią najważniejszą Bruce Marshalla, ks. Smithem. Ks. Chisholm prowadzi żywot w daleko mniejszym stopniu przepojony modlitwą i opromieniony nadprzyrodzonym życiem łaski, ale niemniej u obydwu wysuwa się na czoło ich zainteresowań zewnętrzna działalność duszpasterska, wzgl. charytatywno-misyjna, a nie ich kapłańskie życie wewnętrzne. Nie łączymy więc ks. Smitha z świętym proboszczem z Ambricourt lub ks. Donissanem Jerzego Bernanosa, jak czyni to ks. Eugeniusz Dąbrowski (zob. jego przedmowę do powieści, 8), lecz sta-

wiamy go raczej obok ks. Chisholma Cronina.

Trudno porównać ks. Smitha z ostatnim kapłanem, prowadzącym duszpasterstwo w Meksyku w okresie krwawego prześladowania Kościoła przez Callesa, którego dramatyczny żywot opisuje Graham Green, w znanej bardzo powieści „The power and the glory" (Moc i sława). Książka ta obudziła najżywszą dyskusję w Ameryce i w krajach Europy zachodniej.

Franciszek Mauriac we wstępie do francuskiego tłumaczenia tego dzieła (Paryż 1948, 12) podkreśla, że Green przedstawił kapłana bardzo ułomnego i słabego pod względem moralnym, który jednak nigdy nie stracił wiary i nie wątpił o wielkości swego powołania, dlatego zdaje się Bóg nie odmówił mu swojej łaski, powołując go do siebie w charakterze męczennika.

Jedną ocenę posiada ten meksykański proboszcz wspólną z ks. Smithem, a mianowicie, że za wszelką cenę chce spełniać swoje obowiązki duszpasterskie.

Widzimy więc, że w ostatnich najznakomitszych powieściach o życiu kapłańskim, autorowie ciągle wracają do duszpasterzy, którzy najbliżej stoją wielkiego współczesnego nurtu życiowego, a nie do tych kapłanów, którzy poświęcają się kontemplacji, przebywając w zaciszu klasztornym, których życie opisywał kilkadziesiąt lat temu z wielkim entuzjazmem np. J. Huysmans (zob. np. powieść jego En route, tłum. na język polski p. t. „W drodze", Warszawa bez daty).

Opierając się na cytowanym wierszu psalmu XLIV, napisał ks. prof. Kruszyński (Księga Psalmów, Lublin 1936, 180): „Piękność Kościoła Chrystusowego jest wewnętrzna polegająca na doskonałości moralnej, na świętości serc ludzkich". Te słowa komentarza psalmowego jeszcze więcej mogłyby nas utwierdzać w mniemaniu, że autor powieści „Chwała córy królewskiej" powinien był opisywać i analizować życie duszpasterzy od strony ich życia wewnętrznego, ascetycznego i mistycznego, jeśli pragnął zostać wiernym tytułowi swojej książki oraz motto naczelnemu, którego znaczenie objaśnia w pierwszym rozdziale i na ostatnich linijkach swego dzieła.

Bruce Marshall tak jednak nie postąpił, lecz dał obraz zewnętrznej pracy duszpasterskiej ks. Smitha oraz szeregu jego konfratrów, jak ks. prałata O'Duffyego, ks. Bonnyboata i innych. Był przy tym zapewne przekonany, że odsłoni w ten sposób wewnętrzną piękność Kościoła katolickiego, który główny cel i rację swego bytowania dostrzega przede wszystkim w pracy duszpasterskiej o najgłębszym charakterze religijnym i moralnym w odróżnieniu od hałaśliwej działalności filantropijnej i społecznej o znaczeniu — prawie że świeckim, jaką rozwijają w Szkocji liczne sekty protestanckie, dostrzegające w tym główną swą misję. W stosunkach polskich nie dość to rozumiemy, natomiast staje się to zrozumiałe w warunkach życiowych w Szkocji, gdzie liczne istnieją sekty protestanckie, — co zresztą Bruce Marshall wyraźnie dostrzegał.

Zaznaczmy w ogóle, że książka Bruce Marshalla w wielu innych punktach jest pod pewnym względem niezrozumiała i zagadkowa, jeśli się jej jak najściślej nie połączy ze środowiskiem szkockim, w którym wyrosła. Tym też między innymi tłumaczy się liczne sceny, pełne żywiołowego humoru, nie tyle słownego, ile sytuacyjnego, jak to uwypukliła Maria Winowska (zob. Wszystka jej chwała od wewnątrz — Tygodnik Powszechny 1949, nr 40).

Dobraczyński w swojej krytyce (Misjonarz na wyspie aniołów, Słowo Powszechne, 1949, nr 322) zwrócił uwagę na to, co nas duszpasterzy najwięcej powinno interesować.

Książka Bruce Marshalla jest pod pewnym względem odpowiedzią na cytowaną już powieść Cronina. W „Kluczach królestwa” Cronin z entuzjazmem kreślił działalność misyjną ks. Chisholma na odległej placówce misyjnej w Chinach, podczas gdy wysiłki duszpasterskie tego samego kapłana w Szkocji, natrafiały na liczne trudności. Ktokolwiek przeczytał książkę Cronina musiał sobie powiedzieć, że niezbyt dobrze wygląda katolickie życie religijne w Szkocji. Zupełnie inny, wprost przeciwny wydźwięk, zostawia w duszach czytelników powieść „Chwała córy królewskiej”. Bruce Marshall przedstawia w niej ks. Smitha i szereg kapłanów, którzy nie wyprawiwszy się do dalekich krain misyjnych, zostają w swojej szkockiej ojczyźnie, pracując z zapałem misjonarskim w duszpasterstwie. Każdy z nas, przeczytawszy tę książkę powie sobie: szczęśliwy ten kraj, który taki posiada kler parafialny.

Bruce Marshall tego samego jest zdania. Ukazuje on to między innymi w tym, że ks. Smith na początku pracy duszpasterskiej, opisanej w książce, małe tylko posiada grono wiernych, skupiających się na nabożeństwie w brudnej hali targowej, w której dach przeciekał, ogół zaś ludności miejscowej jest wrogo i przeciwko niemu oraz Kościołowi nastawiony. U schyłku działalności duszpasterskiej ks. Smitha sytuacja ogromnej uległa zmianie na korzyść Kościoła. Ks. Smith wystawił własny kościół parafialny, a kiedy bliski jego konfrater O'Duffy umarł, cała prawie ludność miejscowa, nie wyjąwszy innowierców i niewierzących, bierze udział w jego pogrzebie.

Czym wytłumaczyć tę ogromną zmianę? Żadne środki świeckie i czysto doczesne tego nie dokonały, lecz jedynie systematyczna praca duszpasterska ks. Smitha i jego konfratrów, odsłaniająca wielkość i chwałę Kościoła od wewnątrz.

Ks. Smith uświadamiał sobie, że w kościołach niekatolickich Szkocji znikomo słabe pulsowało chrześcijańskie życie religijne. Protestanci jeszcze niechętnie odnosili się do katolików, zwłaszcza kapłanów, ale do zborów swoich nie uczęszczali. Zachowywali oni jeszcze niektóre chrześcijańskie zewnętrzne formy życiowe, jako spuściznę po starodawnej tradycji chrześcijańskiej, ale poza tym, życie ich jest już całkiem wyjałowione i puste, bez głębszej treści.

Ks. Smithowi najmniej chodziło o to, by w pracy duszpasterskiej ukazywać wierzącym i niewierzącym katolicyzm formalny, który bardzo łatwo trącić może faryzaizmem, ale leży mu raczej na sercu dążność do odsłaniania przed ludźmi najgłębszej treści katolickiej. Tendencja ta wyrażona jest w kazaniach, które nawiasem mówiąc z punktu widzenia retorycznego nie bardzo dobrze wypadają. Wyraziściej jednak uwypukla się ona w całej pracy duszpasterskiej ks. Smitha, gdzie traktuje się ją jako misję „która wymaga od niego całego dnia pracy, najwyższego wysiłku, najwyższego poświęcenia i osobistej świętości”, jak słusznie zauważył Dobraczyński.

Taką samą postawę życiową okazują inni księża, najbliżsi konfratrzy ks. Smitha, z którymi harmonijnie on współpracuje. Ten systematyczny wysiłek duszpasterski kilku gorliwie poświęcających się

kapłanów sprowadził tę wielką odmianę, o której wspomnieliśmy. Dokonali tego bez wielkich środków materialnych, gdyż wszyscy prowadzili żywot stosunkowo biedny i bardzo skromny.

III.

Ks. Smith jest gorliwym duszpasterzem. Przeżywa on mniej uczuciowo swój zapał duszpasterski od ks. Sadoka z „Konfesjonału" Grabskiego, niemniej jednak w całej postawie życiowej jest apostołem. Okazuje to w pracy, w kościele i poza kościołem, wszędzie, gdziekolwiek przebywa: na ambonie, w konfesjonale, wśród chorych, w służbie wojskowej itd. Pragnie gorąco, by wszyscy ludzie byli jak najlepsi. Wypływem tego pragnienia są jego słowa: „dopóki wszyscy nie będziemy starali się być bardzo dobrymi, będziemy wszyscy okropnie źli, a tylko poświęcając się dobrze, może człowiek ustrzec się od materialnych i duchowych następstw tego wieku maszyn". A ponieważ wie, że wielu ludzi nie przychodzi do kościoła, dlatego wraca kilkakrotnie do myśli, że należałoby stworzyć kaznodziejów ulicznych, którzy umieliby przemówić i trafić do tych właśnie ludzi.

Przy całej swej gorliwości nie jest jednak ciasny, co mu ogromnie ułatwia swobodne i serdeczne obcowanie z innowiercami, a także z katolikami, którzy grzeszne prowadzą życie, jak np. ludzie rozpustni i pijacy. Sam żyjąc czysto, rozumie doskonale słabości ludzkie zwłaszcza na tym punkcie. Stale wraca on do tego samego, że Kościół powinien więcej piętnować wielkie grzechy i zbrodnie popełnione w życiu społecznym, gospodarczym, politycznym itd. Zdaniem jego, za dużo kler „uczy moralności o małym, nie zaś o dużym zakresie". Wydaje mu się, że „większość mężczyzn, którzy pili nadmiernie lub tracili głowy dla dziewcząt, byli w gruncie rzeczy porządnymi chłopcami. Kłamanie, oszukiwanie, złodziejstwo, wyzyskiwanie pracowników, zbijanie pieniędzy i wygłaszanie wielkich słów dla ukrycia małych myśli — oto były grzechy wołające o pomstę do nieba". Ks. Smith uświadamia sobie, że do realizowania tego i innych postulatów, potrzebna jest wielka odwaga, pewien heroizm. Mówi on np. „Gdybyśmy tylko nauczali odważniej, że chrześcijaństwo nie jest wcale przyzwoitym nawykiem powściągliwości, ale głośnym, wulgarnym, zgiełkowym bohaterstwem...". Szkoda wielka, że w związku z tym tokiem myśli ks. Smith nie uwypuklił jednego, a mianowicie, że w etyce chrześcijańskiej jedną z podstawowych tendencji jest połączenie cnót pasywnych z cnotami aktywnymi, co powinno człowiekowi ułatwić dokonanie wspaniałej syntezy moralnej w swoim życiu.

Uznaje on wprawdzie, że „pijaństwo i rozpusta zaciemniają soczewkę duszy i zamazują chłodny obraz Boga przed okiem tych, którzy się im oddają", niemniej jednak wyczuć można, że pierwszeństwo daje cnotom aktywnym przed pasywnymi, co jest zjawiskiem często spotykanym w świecie anglosaskim.

Przesadne akcentowanie cnót aktywnych, nawet kiedy praktykowanie tychże mogłoby największy przynieść pożytek w życiu społecznym, gospodarczym i innym, bardzo łatwo pociąga za sobą w brutalnym życiu codziennym zupełne zlekceważenie obowiązku panowania nad niskimi instynktami, które drzemią na dnie każdej natury ludzkiej. Wiadomo zresztą, że Chrystus Pan mówiąc: „sint lumbi vestri praecincti, et lucernae ardentes in

manibus vestris" (Łuk. 12, 35) nałożył na ludzi zarówno obowiązek poskramiania nieokiełznanych namiętności, jak czynienia dobrze w życiu prywatnym i publicznym. Z uwagi na to etyka katolicka zmierza do syntezy moralnej, w której łączy się cnoty pasywne z aktywnymi.

Ks. Smith żyje w wirze powikłań gospodarczo-społecznych, jakie wyłaniają się w walce między światem kapitalistycznym a proletariatem. Przedstawicielem pierwszego obozu jest np. bogaty sir Dugald Ippecacuanha wraz z jego lady, drugiego — Angus Mc Nab. Ks. Smith staje wraz z konfratrami po stronie robotników, czy też bezrobotnych. Obserwując urastającą w Europie falę wojowniczego faszyzmu, skłania się ku stronie antyfaszystowskiej.

Należy on do tych kapłanów, którzy myślą, zastanawiając się gruntownie nad aktualnymi problemami życiowymi, gospodarczymi, społecznymi i innymi. Toteż pracy swej duszpasterskiej nie załatwia w sposób mechaniczny, bezmyślny, lecz wkłada w nią całą duszę, dostosowując się do aktualnych potrzeb dusz, jemu powierzonych. Dzięki temu nie traci on nigdy kontaktu ideowego ze współczesnym światem. Ma przy tym duszę marzyciela, skłonną ku poezji, wskutek czego niektóre zagadnienia sam sobie komplikuje, ujmując je zbyt jednostronnie i teoretycznie, np. zagadnienie, jak uniknąć przyszłej wojny?

W pierwszej wojnie światowej bierze on czynny udział jako kapelan wojskowy. Na froncie umacnia się coraz więcej w przekonaniu, że z krwawych zmagań wojennych zrodzi się nowy, lepszy, idealniejszy świat. Nawet biskup jego „nie może oprzeć się nadziei, że wojna ta przyniesie w swych skutkach wielkie i trwałe duchowe korzyści". Podobne marzenia wypowiada ks. Smith na froncie wśród żołnierzy nieraz już mocno załamanych, przepajając w ten sposób najokropniejszą i najbrutalniejszą rzeczywistość — największym idealizmem. Szczerze pragnie całej tej strasznej sytuacji życiowej nadać jakiś głębszy sens. Wydaje mu się bowiem, że „gdy ludzie nauczyli się heroizmu na wojnie, może nauczą się i bardziej heroicznej postawy w czasie pokoju". Wróciwszy jednak do domu, przekonał się, że cały świat — jak przedtem, tak i teraz — jest nadal pełen najskrajniejszego egoizmu i że o samorzutnym odrodzeniu religijnym społeczeństwa nie ma mowy. Strasznie go to boli, lecz powoli z tym się oswaja. Ułatwiają mu to m. i. — słowa biskupa: „Nie dziwi go (Kościół) fakt, że grzech i zamęt panują na świecie. Raczej dziwi się, że panuje także cnota i ład. A ponieważ odczytuje rzeczywistość w zwierciadle Bożym, wie również, że istnieje rzecz gorsza niż śmierć miliona młodych ludzi na polu bitwy. Tą rzeczą jest śmierć w łóżku jednego starca, który znajduje się w stanie ostatecznej zatwardziałości".

Za wszelką cenę pragnie, by wojna więcej się nie powtórzyła. Nie był bowiem przekonany, że „wojna o położenie kresu wszystkim wojnom została... wygrana" — jak twierdziła bogata lady Ippecacuanha. Wiedział wprawdzie, że „wojny plemienne należą do przeszłości", lecz teraz narzucało się pytanie: „dlaczego wojny międzynarodowe nie miałyby zniknąć również?" Idąc za tym tokiem myśli staje się zagorzałym zwolennikiem pacyfizmu — prądu społeczno-politycznego bardzo modnego w Anglii w okresie międzywojennym. Należy tu podkreślić, że ten właśnie kierunek społeczno-polityczny posiada w tym kraju już

dawniejszą tradycję, gdyż — jak jezuita C. Noppel to zaznacza — pierwsze objawy nowoczesnego, w konkretne formy ujętego pacyfizmu, obserwujemy w krajach anglosaskich po 1815 r., po wojnach napoleońskich. (zob. art. jego: Friedensbewegung, Staatslexikon, Fryburg w Br. 1927, II. Kol. 271).

W okresie międzywojennym kler wszystkich wyznań na tym odcinku pracował jednozgodnie, co z katolickiego punktu widzenia jest całkowicie dozwolone, jak na to wskazał dominikanin Stratmann (Weltkirche und Weltfriede, Augsburg 1924, 274).

Mając to na uwadze, Marshall wypowiada mimo to zdanie, że kler wszystkich wyznań zamiast rozwinąć akcję, zmierzającą ku odrodzeniu i pogłębieniu życia religijnego w kraju, przejął się ideami pacyfistycznymi. Brzmi to jakby zarzut pod adresem ks. Smitha.

Nie jest jednak ks. Smith pacyfistą za wszelką cenę. Bowiem skoro tylko się przekonał, że ludzkość w swoim nieokiełzanym egoiźmie i hedoniźmie, coraz niżej się zstacza, powiada: „A jeśli jest rzecz okropniejsza niż wojna, jest nią ten rodzaj pokoju, jakiego zaznajemy od dwudziestu lat". Całą pustkę świata powojennego poznał ks. Smith np. w rozmowie z powieściopisarką Miss Dana Agdala. Na zarzut z jej strony, że „chrześcijaństwo przeżyło już swoją użyteczność — odpowiada odważnie: „przeciwnie, chrześcijaństwo nie zaczęło nawet jeszcze okazywać swej użyteczności i wątpię, czy ją kiedy w pełni okaże, ponieważ Bóg nigdy nie obiecywał, że tak będzie".

Każdy współczesny duszpasterz czytając tę książkę odkryje w niej pewne momenty nieodzowne w pracy duszpasterskiej zarówno w Polsce, jako też na całym świecie. Tematem głównym pierwszego kazania ks. Smitha jest Kościół, jego piękność wewnętrzna, powszechność itd. Wiemy wszyscy, jak eklezjologia w całym katolickim życiu religijnym mocno się dziś wysuwa.

Wykładając religię w klasie ze smutkiem uświadamia sobie ks. Smith, „ile zła wciąż jeszcze krzewi się na świecie dlatego, że mądrość wkuwa się na pamięć, a nie wbija się jej w mózgi słowami ostrymi jak nowe gwoździe". A przy innej okazji stwierdza: „Doktryna, owszem, Przenajświętszy Sakrament i niebo i piekło i czyściec, ale krzyczmy o nich odważnie i nowymi słowami tak, by zmęczony stary świat nawyków i szanownych pozorów usłyszał i zrozumiał, że chrześcijaństwo jest jedyną prawdziwą i zuchwałą rewolucją". W podobną nutę uderzył umierający biskup, przestrzegając kanoników, by w kazaniach nie „polegali na utartych frazesach".

Ks. Smith nie był specjalistą w dziedzinie liturgii. Okazał się nim natomiast bliski jego konfrater ks. Bonnyboat, spodziewający się bardzo wiele po liturgii. Idąc po tej linii rozumowania przeprowadza różne reformy w życiu parafialnym, lecz „gdy... nie było jeszcze żadnych znaków religijnego odrodzenia kraju, nawet ks. Bonnyboat zaczął się obawiać, że liturgia sama nie zdziała tej sztuki, toteż poprosił ks. prałata O'Duffyego, aby przybył z prokatedry i przeprowadził misje". Rozumiemy, że to, czego ruch liturgiczny nie zdołał osiągnąć, misja św. prowadzona przez ogromnie jowialnego, bardzo energicznego i sprawie Bożej rzeczywiście oddanego kapłana, miała tego dokonać. Można by jeszcze inne przytoczyć podobne przykłady, które warto wziąć pod uwagę w naszej praktyce duszpasterskiej.

Maria Winowska (zob. cyt. artykuł) napisała: „Primadonną współczesnej powieści katolickiej na Zachodzie jest niewątpliwie ksiądz". Od siebie dodamy, że sprawa ta jest aktualną również u nas w Polsce, gdzie postać księdza coraz częściej wyłania się z naszej literatury.

Powieści o kapłanach, jakie pisali: Bernanos, Green, Grabski, Marshall, z wielkim zainteresowaniem czytają ludzie świeccy. Byłoby jednak polecenia godne, by z powieściami tymi zapoznali się również kapłani, zwłaszcza duszpasterze. Ułatwi im to zorientowanie się w tym, jak pisarze świeccy pojmują kapłaństwo katolickie i czego spodziewają się od duszpasterzy współczesnych.

Ks. dr H. Bednorz

Publiczna spowiedź kapłanów

Była kiedyś w Kościele praktykowana spowiedź publiczna i spowiedź uszna. Obecnie znamy tylko spowiedź uszną, ale zdaje się, że historia jednak powtarza się. Coraz częściej dzienniki niektóre przynoszą materiały z życia kapłanów, materiały takie, które normalnie omawia się raczej przy spowiedzi. Tu jest dla nich właściwe pole. Prasa katolicka przynosi teraz coraz częściej materiały inne, takie, o których nieraz mówimy między sobą, że się nadają „do drugiego nokturnu". Bóg sam osądzi, których materiałów jest więcej, które przeważają. Nam kapłanom pozostaje w danych warunkach zrobić to, co zaleca i podaje sakrament pokuty. W walce pomiędzy światłością i ciemnością mamy miejsce obrane, drogę wytyczoną. Ewangelia uczy: „Ja jestem Światłością świata!" ale także głosi: „Wy jesteście światłością świata".

Do rozwiązania tego nowego i trudnego problemu, który nazwałem tu „publiczną spowiedzią kapłanów" pomogą nam wśród innych także i niżej wymienione książki. Mogą i powinny one znaleźć się w rękach każdego kapłana, każdego katolika i niekatolika.

W Wydawnictwie Mariackim ukazało się dzieło J. Kędziory: „*Szymon, Syn Judy — portret człowieka*". Powieść, piękna powieść Kędziory o Piotrze apostole to przede wszystkim dla nas, kapłanów, zdarzenie w literaturze polskiej o pierwszorzędnej doniosłości. Tu, jak w zwierciadle, możemy zobaczyć nasze kapłańskie posłannictwo, jak u źródeł zaczerpnąć sił do pełnienia tego posłannictwa. Tu obok apostołów świętych spotkamy Judasza. Ta postać skłoni każdego z nas do gruntownego rachunku sumienia z naszego stosunku do Jezusa. Cała ta powieść skłoni niejednego do niejednej spowiedzi...

Pod tym kątem patrzenia przystąpimy do czytania powieści Wł. J. Grabskiego „*Konfesjonał*". Grabski, stawia konfesjonał w środku życia kapłana i parafii. Doskonała powieść Grabskiego to jeszcze do-

skonalsza sposobność do spowiedzi dla każdego kapłana. W książeczkach do modlenia starego typu były drukowane nieraz t. zw. „rachunki sumienia" zawierające cały szereg pytań. Czasem mieliśmy wątpliwości, czy te pytania były podane w sposób właściwy, pedagogiczny. Powieść Grabskiego w sposób właściwy, zgodny z teologią katolicką i nowoczesną psychologią, przeprowadza rachunek sumienia kapłana i jego wiernych. To ważne: „i jego wiernych". Bo ci, co spowiadają publicznie kapłanów, sami raczej unikają spowiedzi, konfesjonału. Sądzą, że nie ten stary grat kościelny, stojący w kącie, ale trybuna mówcy przyniesie więcej szczęścia człowiekowi współczesnemu. W powieści Grabskiego znajdziemy i ten aspekt naświetlony...

W powieści Jana Wiktora „*Zbuntowany*" mamy spowiedź publiczną nie jednego, ale wielu kapłanów. Całą ich kolejkę ustawił pisarz koło swego konfesjonału. Wewnątrz umieścił mikrofon, nazewnątrz silne głośniki, czego nie ma w żadnym konfesjonale świata. Powieść Wiktora jest olbrzymim megafonem grzechów i błędów i niedociągnięć kapłanów. Tu już nie z dziennikarską pobieżnością, ale z wielkim pisarskim mistrzostwem przedstawiono pewną część sakramentu pokuty, mianowicie „wyznanie grzechów". Jana Wiktora gadulstwo będzie trochę przeszkadzać czytelnikom w cierpliwym doczytaniu powieści do końca. Możliwe, że autor przy tej sposobności sam się chciał wyspowiadać, co nie jest wykluczone i co poniekąd usprawiedliwiałoby fakt ukazania się powieści. Obraz życia i duszy kapłana pokazano tu w krzywym, rozbitym zwierciadle. Tak to wygląda, jakby ktoś chciał oglądać wspaniałość słońca w błotnistej kałuży. Tak, tam też się słońce odbija, ale czy to jest całe i prawdziwe słońce? Czy koniecznie w ten sposób trzeba patrzeć? Siedmiopromienna tęcza po burzy więcej nam mówi o słońcu. Wiktor może szuka słońca wiary, może chciałby spocząć pod tęczą pokoju, ale grzebie się w kałuży, zamiast spojrzeć w górę, ku słońcu...

Trzeba tu wreszcie wspomnieć jeszcze jedną książkę, W. Huenermana: „*Ojciec Damian*" w polskim przekładzie wydaną przez Pallottinum. Gdy ktoś jest chory, dajemy go do szpitala. Chorych na płuca wywozimy w zdrowe górskie powietrze. Słońce i dobry klimat leczą. Ojciec Damian prowadzi kapłanów i wiernych w słoneczny, górski klimat wiary i miłości i życia nadprzyrodzonego. Ojciec Damian wstępuje na ziemi do piekła samego, żyje i działa wśród trędowatych, ale zanosi tam słońce, Chrystusa i Jego miłość. Ta książka to także sposobność do spowiedzi publicznej kapłanów i wiernych. Nie tylko samo wyznanie swoich nędz, ale ciąg dalszy sakramentu pokuty: żal, powstanie z grzechu, pokuta, zadosyćczynienie. I to czynienie wspaniałe, ofiarne, ponad miarę!...

Przy wspominaniu omawianych tu powieści nie chodziło o tak zwaną krytykę literacką. Te powieści i ich treść dotykają bezpośrednio samej istoty kapłaństwa katolickiego i jego duszpasterskiego posłannictwa wśród współczesnego świata. Katolicka nauka o sakramencie pokuty, i tylko ona, może sprawić, że z wysiłku twórczego pisarzy może wyjść naprawdę istotny pożytek i dla kapłaństwa i dla wiernych.

Stefania żyła kilka lat w związku małżeńskim z Józefem, którego nigdy nie kochała. Wreszcie dowiedziawszy się, że ślub kościelny zawarty pod przymusem nie jest ważny, tak iż można uzyskać w Sądzie Duchownym orzeczenie nieważności takiego ślubu, wniosła skargę do Sądu Biskupiego o nieważność swego małżeństwa. W skardze wywodziła Stefania następujące okoliczności: małżeństwa z Józefem nie chciała pierwotnie zawierać, lecz ze Stanisławem, którego kochała. Matka jednak nie godziła się na to małżeństwo, gdyż był ubogi i zbyt młody. Matka groziła Stefanii, że jeśli poślubi Stanisława, to wyprze się jej i nawet z domu wypędzi. Przy tym unosiła się matka gniewem, co szkodziło jej słabemu zdrowiu i Stefania obawiała się, że wybuchy gniewu mogą być powodem ciężkiego załamania się jej zdrowia. Józef natomiast był bogaty i starszy, stąd odpowiadał matce. Zalecała go ona córce jako dobrą partię. Stefania uległa matce i poślubiła Józefa.

Życie jednak z nim nie było możliwe. Stefania wniosła więc skargę o orzeczenie nieważności małżeństwa z tytułu przymusu przez matkę na nią wywartego.

Sąd Duchowny jednak skargi nie przyjął, a decyzję swą tak uzasadnił: matka zmuszała Stefanię do zaniechania małżeństwa z Stanisławem, lecz nie zmuszała jej do ślubu z Józefem. Obawy zaś Stefanii, że stać się może przyczyną choroby matki, odwiodły ją tylko od ślubu z Stanisławem, a co do poślubienia Józefa miała wolną decyzję. Zresztą obawy Stefanii co do zaszkodzenia zdrowiu matki w ogóle nie stanowią przymusu w rozumieniu can. 1087 § 1 jako metus i n t e r n u s. Nieważność małżeństwa powoduje przymus wywarty z zewnątrz (ab extrinseco) tj. wywarty przez inną osobę.

Inaczej rzecz by się miała, gdyby matka Stefanii groziła w następujący sposób: jeśli nie poślubisz Józefa, tak wielkie wyrządzisz mi zmartwienie, że ciężko się pochoruję i twoja to będzie wina; będziesz mnie miała na sumieniu. Obawiając się, że odmowa poślubienia Józefa może matce zaszkodzić na zdrowiu, uległaby Stefania groźbie matki i rzeczywiście groziłoby jej wielkie zło t. j. postradanie zdrowia matki. W takim wypadku can. 1087 § 1 miałby zastosowanie, ponieważ przymus byłby wywarty na Stefanię od zewnątrz (przez matkę) i wielkie zło groziłoby jej (utrata zdrowia matki). Przymus ten byłby niesprawiedliwy i gdyby Stefania od niego nie mogła się uwolnić w inny sposób jak tylko poślubiając Józefa, ważność małżeństwa mogłaby być zaskarżona. (K.)

Pro memoria

Kapłani obowiązani są do świętości, albowiem P. Bóg ustanowił ich na ziemi, aby byli wzorem cnót. Św. Chryzostom nazywa kapłanów: doktorami pobożności (doctores pietatis). Św. Dyonizy taki stawia postulat kapłanom: Ten tylko śmiało może być przewodnikiem innych, kto przez swoje cnoty stał się podobnym Panu Bogu. Św. Grzegorz Naz. mówi o kapłanie: Naprzód samemu się oczyścić, a następnie innych oczyszczać; samemu się do Boga zbliżyć, a następnie innych tamże prowadzić; samemu się uświętobliwić, a następnie innych uświęcać; samemu stać się światłem, a następnie innych oświecać.

Św. Tomasz z Akwinu tak wnioskuje: do godnego spełniania urzędu kapłana potrzeba wysokiej cnoty: „ad ioneam executionem Ordinum non sufficit bonitas qualiscumque, sed requiritur bonitas excellens. (Suppl. 9. 35. art. 1 ad 3).

(Św. Alfons Lig. O godności i obowiązkach kapłańskich)

Ze świata

Uniwersytet katolicki w Tokio (Japonia) liczy ponad 1 tys. słuchaczy, z których większość jest katolikami. Katolicy japońscy mają swój organ; nakład jego wynosi 200 tys. egzemplarzy, podczas gdy samych katolików jest w Japonii 130 tys.

Katolicy belgijscy postanowili roztoczyć opiekę nad wiernymi i pamiątkami w Nazaret. Za ich przykładem katolicy francuscy przyjęli pod opiekę Betlejem, dokąd przesyłają dary dla ofiar wojny.

W bież. roku odbędzie się pierwszy w historii Kościoła w Indiach synod plenarny w Bangalore. Legatem Ojca św. będzie kard. Gilroy z Sydney w Australii.

We Włoszech Północnych szerzy się tzw. Krucjata Różańcowa. Misjonarze z Zak. Dominikańskiego głoszą płomienne kazania o modlitwie różańcowej, zachęcając wiernych do jej odmawiania.

Z okazji setnej rocznicy ustanowienia hierarchii Rzymskiej w Anglii i Walii prowadzi się w obydwóch krajach akcje uświadamiania na temat prawowitości zasad wiary katolickiej. Akcja prowadzona przez księży i osoby świeckie rozpoczęła się w lutym b. r.

W Anglii liczba małżeństw a także rozwodów wzrosła. — W 1947 r. zawarto 401 tys. małżeństw. Na ten sam rok przypada zastraszająca liczba rozwodów, mianowicie ponad 60 tysięcy. Urodzin było 881 tysięcy.

Znana pisarka amerykańska Gret Palmer została przyjęta na łono Kościoła katol. przez słynnego „łowcę dusz” mgr Fultona, prof. uniwersytetu kat. — Gret Palmer z głębokim przekonaniem podkreśla rolę i udział Matki Bożej we wszystkich nawróceniach.

Znakomity aktor filmowy Emil Jannings zmarł w styczniu b. r. w Wolfgangsee u podnóża Alp. Był

protestantem. Pracował nad filmem Bonifacy VIII, w którym miał grać rolę papieża. Sprawa ta tak go przejęła, że wziął się do studiów nad historią i nauką Kościoła. To go doprowadziło do przejścia na łono Kościoła kat. Gdy przyjmował ostatnie sakramenta św. dał wyraz swej radości. Ostatnie jego słowa były modlitwą: Ojcze nasz i Zdrowaś Maryo. W dniu 2 stycznia wieczorem znaleziono go martwego z krzyżem w zaciśniętych rękach.

Rozpoczęto proces beatyfikacyjny w Karori w Nowej Zelandii Zuzanny Aubert de Lay, założycielki Zgrom. SS. Szpitalnych, z zawodu lekarki, która za zachętą św. Jana Vianneya z Ars udała się do Nowej Zelandii, by poświęcić się wyłącznie nieuleczalnie chorym. Zmarła w 1926 r. licząc lat 92. —

W Kairze otrzymał na uniwersytecie mahometańskim promocję ksiądz katolicki O. De Mario, Salezjanin, jako pierwszy kapłan katol. studiujący język i historię arabską.

W Tokio rozpoczął się proces beatyfik. Japończyka Ukou Takajama, generała armii cesarskiej, który za swe przekonania katolickie został skazany na banicję († 1625).

Z kraju

J. Em. ks. kard. Sapieha przybył dnia 12 kwietnia do Rzymu i wziął udział w uroczystościach Roku Jubileuszowego. 23 kwietnia wziął J. Eminencja wśród kilkunastu innych kardynałów udział w uroczystości kanonizacji bł. Marii de Rodat. W połowie maja powrócił do kraju.

Tegoroczne uroczystości Świętowojciechowe w Gnieźnie połączone z 950 rocznicą powstania Metropolii Gnieźnieńskiej wypadły okazale. Niemal wszyscy księża biskupi Polski brali w nich udział oraz wielkie rzesze wiernych. Sumę odprawił J. E. X. prymas Wyszyński, kazanie okolicznościowe wygłosił J. E. X. metropolita Dymek z Poznania.

Zgromadzenie SS. Służebniczek Niep. Pocz. N. M. P. obchodziło 25 kwietnia u grobu swego założyciela Edmunda Bojanowskiego, spoczywającego w kaplicy zakładu SS. Służebniczek w Żabikowie pod Poznaniem, swój stuletni jubileusz. Obecni byli J. E. X. prymas Wyszyński i J. E. X. metropolita Dymek. Kazanie wygłosił O. Jan Rostworowski T. J.

Dnia 30 marca zmarł redaktor kat. tygodnika „Ład Boży" śp. ks. dr Władysław Mirski, b. profesor Seminarium Duch. w Włocławku, dyrektor kat. gimnazjum i liceum im. Długosza w tymże mieście. Zostawił po sobie pamięć wykształconego i gorliwego kapłana.

Wybitny kompozytor polski Roman Maciejewski, przebywający od lat w Göteborgu (Szwecja), kończy monumentalne „Requiem" na chóry, solistów i orkiestrę, poświęcone pamięci poległych w ostatniej wojnie. Do Maciejewskiego przyjechał z Ameryki słynny pianista Artur Rubinstein, pragnący wziąć udział w pierwszym wykonaniu Requiem. Maciejewski opuścił Polskę w 1938 r.

W Anglii rozszerza się coraz więcej zaprowadzone przez grupę żołnierzy weteranów publiczne odmawianie różańca. Intencją tych modlitw jest powrót Anglii do prawdziwego chrześcijaństwa, pokój pomiędzy narodami i sprawiedliwe rozwiązanie problemu szkół katolickich. Często do nabożeństwa tego przyłączają się niekatolicy.

Szkice kazań stanowych

Ks. T. Nogala, proboszcz w Luboniu

JAK TRZEBA SIĘ MODLIĆ

Nauka do dzieci

Drogie dzieci!

Będę dzisiaj mówił o modlitwie. Modlić się znaczy wznieść swoje serce do Boga, ażeby Go chwalić, ażeby Mu dziękować, aby Go przeprosić lub poprosić o jakąś łaskę.

Wiem, że modlicie się rano, wieczorem, przed i po jedzeniu, przed i po nauce, w kościele na mszy św. i podczas nabożeństw. Boję się jednak, czy zawsze czynicie to dobrze, tak jak należy. Jak więc trzeba się modlić, dobrze modlić? O tym właśnie chcę wam dziś powiedzieć.

Drogie dzieci!

Skończyła się właśnie zabawa w piłkę. Trzeba iść do domu, powiada Henio, czas odrobić zadania szkolne. Ach, te rachunki, te rachunki! — mruczy niezadowolony Peconic, zabawa jest milsza. Ale trudno, co trzeba to trzeba. Siada więc do zeszytu i zaczyna liczyć. A więc: cztery i pięć jest . . . jest . . . Mamo, wygrałem dziesięć złotych! Cztery i pięć jest . . . dziesięć. Dobrze, piszemy dziesięć. Dalej dwa razy dwa jest cztery. Trzy razy trzy jest, jest . . . Maryś chcesz trochę pojeździć? I bierze Marysia na kolana. Zaczyna się hop, hop i Maryś jeździ na kolanach niby na koniu. Ale prawda, trzeba przecież liczyć. Maryś schodzi z konia a Henio zaczyna dalej rachunki. A więc trzy razy trzy jest sześć. Siedem mniej pięć jest... Mamusiu, widziałem dzisiaj żołnierzy, jak robili ćwiczenia. Siedem mniej pięć jest jeden. Dobrze, zadanie skończone.

Nazajutrz idzie nasz Henio do szkoły. Pani nauczycielka przegląda rachunki . . . i cóż, pewnie daje mu bardzo dobrze, prawda? Tak jest, bardzo dobrze przekreśla całe zadanie i każe je jeszcze raz odrobić!

Powiedzcie teraz, drogie dzieci, dlaczego to Henio tak źle liczył? Prawda, że dlatego, iż myślami wcale nie był przy rachunkach. Myśli

jego były wszędzie: przy dziesięciu złotych, przy Marysiu, przy żołnierzach, wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinny być t. zn. przy rachunkach. I dlatego źle liczył.

A teraz posłuchajcie czegoś innego. Jest wieczór. Matka idzie z Heniem do kościoła pomodlić się za tatusia, ażeby wrócił zdrowo z zagranicy, bo dotąd go jeszcze nie ma. Synuś także ma się o to modlić. Przed ołtarzem kapłan odmawia różaniec. Henio słucha i modli się: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech . . . Zdrowaś Maryo, łaski pełna . . . Ale też piękna dziś była pogoda — przychodzi mu myśl — można sie było nabawić! Święta Maryo, Matko Boża . . . Tak, gniazdko w ogrodzie już prawie jest gotowe . . . Ale prawda, mam mówić różaniec za tatusia. Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami . . . Jak to dobrze, że jutro nie będzie szkoły . . .

I tak myśli jego podczas całego różańca odrywają się to tu, to tam, aż nagle słyszy, jak śpiewają Tantum ergo i jest po nabożeństwie.

Jak wam się zdaje, drogie dzieci, czy na taki pacierz powie Pan Bóg: za to, że Henio tak pobożnie i uważnie się modlił niechaj mu wróci szczęśliwie ojciec? Napewno nie. A dlaczego? Bo nasz Henio nie modlił się pobożnie. Przy modlitwie to samo czynił, co przy rachunkach. Myślał o wszystkim innym, tylko nie o tym, o czym trzeba było myśleć, to znaczy o Bogu.

Dobrze, powiecie zapewne, ale co tu robić, kiedy myśli wciąż uciekają w czasie pacierza gdzie indziej.

Gdy zaczynam pacierz, myślę o Bogu, ale za chwilę już, już gonię myślami po ulicy. Co robić, żeby dobrze się modlić?

Otóż posłuchajcie. — Po pierwsze: Trzeba tak powiedzieć Bogu. Panie Boże, pragnę się teraz modlić, ale pomóż mi, pomóż mi, aby cały czas myśli moje były przy Tobie. Po drugie: trzeba pięknie, prosto klęknąć, wyprostowany, jak żołnierz, który z samym królem ma rozmawiać. Nie tak, jak to często dzieci robią, że niby to klęczą a właściwie siedzą na piętach, lub leżą leniwie na rękach opartych o łóżko, jakby chciały nurka dać! Gdy bowiem ciało się leni, to i myśli są takie. Po trzecie: trzeba zawsze patrzeć na ołtarz, na krzyż lub książeczkę do nabożeństwa a nie rozglądać się na prawo i lewo, lub przyglądać się innym dzieciom. Inaczej zaraz przez oczy jak przez okno wpadną do głowy inne myśli i będzie tak, jak z Anią. Cóż to było z Anią?

Były imieniny matki. Ania miała powiedzieć wierszyk. Nauczyła ją tego wierszyka starsza siostra i umiała go dobrze. Rano idzie Ania z bukietem kwiatów w ręku do pokoju mamusi i zaczyna wierszyk.

Początek idzie dobrze, bo Ania patrzy przy tym matce prosto w oczy. Ale w pewnej chwili spogląda niebacznie na stół, na którym stoi tort. Mówi dalej, ale już teraz tort chodzi razem z wierszem po głowie, zaczyna jej się wszystko kręcić, mylić, jąka się i . . . i ani rusz dalej. Wszystko przez ten tort! Gdyby wciąż patrzała na mamusię i myślała o wierszyku a nie o torcie, poszłoby jej dobrze.

A więc po trzecie: Nie trzeba przy pacierzu patrzeć na inne rzeczy, gdyż myśli uciekną gdzie indziej.

Po czwarte: Gdy podczas pacierza nachodzą nas inne myśli, trzeba je odpędzać. Ale one wracają! — To znów je trzeba odpędzać, jak natrętną osę. Szatan nie może znieść, jak ktoś się dobrze modli i dlatego nasyła nam wciąż inne myśli. Trzeba je przepędzać. Pan Bóg dobrze widzi, jak to dziecko walczy z tymi myślami, aby się dobrze modlić i cieszy się z takiego pacierza. Napewno też takiego pacierza wysłucha. Napewno.

Drogie dzieci!

Tak oto macie się modlić, dobrze, pobożnie modlić. A więc od dziś zaczynamy! Najpierw pięknie klękniemy, potem mówimy: Panie Boże, dopomóż mi się modlić. Dalej patrzymy na ołtarz, na krzyż lub w książeczkę. A w czasie pacierza odpędzamy inne myśli.

Tak odtąd zawsze módlcie się a Pan Bóg będzie się cieszył z waszej modlitwy i chętnie wam za nią będzie błogosławił. Amen

Ks. Kazimierz Pielatowski
proboszcz w Puszczykowie

KSZTAŁCENIE ROZUMU I WOLI

Nauka do młodzieży męskiej

D y s p o z y c j a

Wstęp — Młodość jest czasem zasiewu.

Osnowa — I. Kształcenie rozumu stanowi:
1. fundament życia ludzkiego.
2. radość, ale i trud wielki.

II. Kształcenie woli stanowi:
konieczność życiową.

Zakończ. — „Młodości moja, nie bądź mi snem marnym".

Wstęp. — Odwieczny obraz ukazuje nam rolnika w pierwszych dniach wiosny, jak przygotowuje pług, by rozpocząć znojną orkę. Jakże się trudzi i mozoli, ażeby ziarno, jakie zasiewa, nie zamarło, ale

wydało plon obfity. Niekiedy, aż zgina się od znoju, niekiedy ręce mu opadają ze zmęczenia. Ale on, krzepiony nadzieją przyszłego plonu, nie ustaje w pracy.

Czym dla rolnika-siewcy wiosna, tym dla człowieka są jego lata młode. One także są czasem zasiewu, okresem, w którym na chłonną rolę umysłu i serca mają obficie padać zdrowe ziarna prawdy i dobra. Ale pod ten zasiew trzeba odpowiednio przygotować tę duchową rolę, trzeba trudu, przewyższającego niekiedy swym nasileniem znój rolnika. Kto jednak zdobędzie się na ten szlachetny wysiłek, ten może słusznie ufać, iż spełnią się na nim słowa Chrystusa Pana: „ziarno, które padło na ziemię dobrą wzeszło i wydało owoc stokrotny" (Łk. 8, 8).

Osnowa. — I. 1. — Z wojennych ruin podnosi się nasza droga Ojczyzna. Wszędzie widzimy wznoszące się domki, kamienice i gmachy. Ale zanim zaczną układać cegły w coraz to wyższe i zmyślniejsze warstwy, muszą najpierw wykopać głębokie rowy, które następnie zasypuje się kamieniami i cementem silnie ze sobą spaja. Nikt nie buduje domu na ziemi, choć i to byłoby i łatwiejsze i tańsze. Dlaczego? Bo do każdej budowli potrzebny jest fundament, na którym całość spoczywa. Im głębszy on i mocniejszy, tym potężniejsza budowla może być na nim wzniesiona. Bez fundamentu wszystko by rychło runęło.

Młode lata są takim fundamentem ludzkiego życia. Im lepiej te lata spędzone, im szersza i gruntowniejsza wiedza w tym czasie zdobyta, tym mocniejszym jest fundament, na jakim wspierać się będą dojrzałe, męskie a twórcze lata. Stąd i Pismo św. upomina: „Synu, od młodości twej przyjmuj naukę, a rychło będziesz używał jej pożytków" (Ekkl. 6, 18).

I. 2. — Kładzenie tego fundamentu, czyli zdobywanie wiedzy jest pracą, która obok radości niesie ze sobą także i trud. Radość nasza płynie tu np. z poznania celowości we wszechświecie, albo ze zgłębienia dziejów ludzkich, albo też z pojmowania prawd Bożych, które ostrzegają człowieka, by nie nadużywał swojej wiedzy do złych celów. Radość z poznawania prawdy jest podobna do radości taternika, zdobywającego wyniosły szczyt górski. — Ale niestety nie ma róży bez kolców. Jak jądro w twardej kryje się skorupie, tak też i prawda kryje się często głęboko i z ogromnym niekiedy wysiłkiem trzeba ją zdobywać. Mozolnie więc i długo zgromadzamy coraz to nowe ziarenka wiedzy i dopiero po latach osiągamy pewien całokształt, pewną dojrzałość umysłową, a nie tylko luźny zlepek niepowiązanych ze sobą wiadomości. Jak książka składa się z wielu kartek, zdań i słów, tak też i wiedza nasza składa się z długiego szeregu dobrze wyuczonych lekcji. Gdyby z książki wydrzeć kilkanaście stron, myśl autora została

by zaciemniona i niezrozumiana. Podobnie szkodliwym dla wiedzy jest, gdy cały szereg lekcji pozostawiamy niewyuczonych. Tak więc kształcenie naszego rozumu wymaga niemałego trudu, ale ostatecznie czyż jest coś, cobyśmy mogli zdobyć bez wysiłku, bez pracy? Jak ptak bez poruszania skrzydłami nie wzbije się w górę, tak nawet i największy geniusz bez pracy niczego nie dokona w życiu. Bo jak słusznie powiadają: „z czoła pot spływać musi, jeżeli dzieło mistrza ma chwalić".

Jakiś poeta starożytny opowiada o człowieku, który na drodze swojej napotkał wartką rzekę. Musiał się przez nią przeprawić, ażeby dojść do swego celu. Niestety nie było żadnego mostu, ani łódki. Można było przejść przez pobliski bród, ale nasz podróżny nie chciał się zmoczyć i utrudzić. Usiadł więc na brzegu i powiedział sobie: „zaczekam, aż wody przepłyną i wtedy suchą nogą, wygodnie przejdę na przeciwległy brzeg". — Śmiejecie się zapewne z głupoty owego człowieka, ale czy w życiu waszym historia ta nie powtarza się wielokrotnie? Ileż to razy odkładacie pracę nad kształceniem umysłu na jutro, na pojutrze, na później, uważając, że potem wygodniej i łatwiej wszystkiego się nauczycie. A tymczasem drogocenne dni, miesiące i lata upływają bezowocnie. Otóż w chwilach takiego wygodnego lenistwa umysłowego, przypomnijcie sobie obraz tego człowieka, czekającego na wyschnięcie rzeki... i zabierzcie się raźno do natychmiastowej pracy. Pamiętajcie przy tym, że młodość darzy was nie tylko szlachetnym zapałem, ale i wyborną pamięcią, której w życiu późniejszym niestety zabraknie. Sama zaś młodość szybko przemija, bo jak słusznie zauważył Wincenty Pol: „Ptakiem przez młodość człowiek przeleci, przez życie idzie oraczem".

II. — Zadaniem młodego wieku jest nie tylko kształcenie umysłu, rozszerzanie i pogłębianie wiedzy, ale nadto i to przede wszystkim kształcenie ducha nieśmiertelnego, uszlachetnienie serca. Trzeba więc wolę naszą tak wykształcić, by mimo wszelkich trudności i pokus zwracała się zawsze do dobrego i by w tym dobrym była do pewnego stopnia utwierdzona. Nie wolno nam bowiem nigdy zapoznawać tej wzniosłej prawdy, że człowiek od Boga wyszedł i do Boga zdążać musi. Wszak jesteśmy wszyscy rzeźbiarzami, którym dano najwspanialsze tworzywo — duszę nieśmiertelną, która z naszych rąk ma wyjść piękna na wejrzenie Boga. Jeżeli zaś woli kształcić nie będziemy, wtedy nie na wiele się przyda wszelka, choćby i największa wiedza: „Cóż pomoże człowiekowi choćby i cały świat zdobył, a na duszy szkodę poniósł" (Mr. 8, 36).

Patrząc na was, widzę jak wzrastacie, rozwijacie się fizycznie i umysłowo, ale czy równocześnie stajecie się moralnie lepszymi?

Kiedyś historyk rzymski z bólem wołał: „Corrumpere et corrumpi saeculum vocatur", psuć siebie i psuć innych to zła zasada i wy nie możecie według niej żyć.

Zakończenie. — Z wielką radością i dumą widzimy, że odbudowa kraju naszego po wojennych zniszczeniach postępuje szybko naprzód. Zabliźniają się rany straszliwej okupacji i dokonuje się to, co tak pięknie wypowiedział poeta Edward Słoński: „Te pola, które deptał i ogniem orał wróg, chabrami i rumiankiem zasieje z wiosną Bóg. Te dwory, które burzył morderczym ogniem wróg, powoli odbudować pomoże dobry Bóg".

W tym dziele odbudowy ojczyzny ukochanej potrzebne są ręce każdego z nas. A im lepiej wykształcimy nasz rozum i naszą wolę, tym owocniejsza i błogosławieńsza będzie nasza praca, tym bardziej zbliżymy się do szczęścia. Tak, do szczęścia! Gdy bowiem zapytano raz starożytnego mędrca, Sokratesa, czy uważa potężnego króla Persów za szczęśliwego, odpowiedział: „Nie wiem, ile on mądrości i cnoty posiada, wiem tylko, że jedynie one czynią ludzi szczęśliwymi". My zaś i to jeszcze dodać możemy, iż młodzieńcy o wykształconym umyśle i woli stają się silnymi i odpornymi, jako te dęby olbrzymie, które opierają się zwycięsko wszelkim burzom i wichrom życiowym. Wy, młodzieńcy ukochani, jesteście tym ślicznym kwiatem i nadzieją nie tylko rodziców i nauczycieli, lecz także całego narodu. Nie zawiedźcie tych wszystkich pięknych i wzniosłych nadziei, jakie w was się pokłada. Z dniem każdym stawajcie się mędrszymi i lepszymi. Bądźcie zawsze takimi, jakimi chce was mieć Adam Mickiewicz:

„Młodości moja, nie bądź mi snem marnym!
Wykuj marzenia swe w żelazne czyny,
By z nich się późne żyć uczyły syny" — Amen.

Ks. dr Z. Baranowski

O ŻYCIU SAMOTNYM

(nauka do młodzieży żeńskiej)

1. MAŁŻEŃSTWO A ŻYCIE SAMOTNE. Dwie są drogi, którymi płynie życie człowieka na ziemi: albo małżeństwo, albo życie samotne. Dawniej uważano ogólnie, że jedynym powołaniem kobiety jest małżeństwo; pannę, której nie udało się wyjść za mąż, nazywano z politowaniem albo szyderstwem: starą panną. Dziś rozumiemy coraz

lepiej, że kobieta może spełnić cel życia swego nie tylko jako żona i matka, ale także jako człowiek samotny, samodzielny.

Wiele panien wyrzeka się świata przez śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa i zamiast narzeczonego ziemskiego obiera sobie Oblubieńca Bożego, Chrystusa, któremu ofiarują miłość swą, świętą i nadprzyrodzoną. One najlepszą cząstkę obrały, lepszą od małżeństwa, gdyż w świętej samotności mogą Bogu życie swe złożyć w ofierze, całkowicie i niepodzielnie, dążąc prostą drogą do doskonałości.

Ale nie każda ma powołanie do zakonu. Otóż można i w świecie prowadzić życie samotne, a przy tym szlachetne i pożyteczne, ale oczywiście nie może to być życie, wypełnione zabawą i płochością, ale życie, którego treścią jest praca i modlitwa.

2. ŻYCIE SAMOTNE, WYPEŁNIONE PRACĄ. Bywało dawniej, że panna czekająca na męża, wypełniała sobie życie robótkami, muzyką, czytaniem powieści. To nie jest oczywiście praca, która życiu daje wartość i treść. Kobieta, która nie chce być śmieszną lub zgorzkniałą starą panną, lecz człowiekiem wartościowym i pożytecznym członkiem społeczeństwa, winna wypełnić życie swoje pracą poważną i rzetelną, czy to fizyczną, czy naukową, czy społeczną, czy inną. Praca uchroni ją od niepotrzebnych marzeń i rozgoryczenia. Praca wypełni tęsknotę jej kobiecego serca, tęsknoty żony i matki. Dla starców i dzieci, dla chorych, biednych lub nieszczęśliwych może być jakoby duchową matką lub siostrą, ich aniołem opiekuńczym. Zamiast własnej rodziny może stworzyć sobie wielką, duchową rodzinę, złączoną wielką a ofiarną miłością. Tym sposobem życie samotne w świecie może poprowadzić na wyżyny świętości. Pociągająca postać skromnej sługi Bożej Salawy jest nam w tym względzie przykładem.

3. ŻYCIE SAMOTNE, WYPEŁNIONE MODLITWĄ. Życie kobiety samotnej nie jest łatwe. Nie ma męża, który byłby dla niej oparciem i obroną; nie ma dzieci, które byłyby dla niej pociechą i zachętą do pracy i ofiary. Tym więcej szukać będzie podpory i pociechy w modlitwie, szczerej, wytrwałej, gorącej. Bóg będzie jej pomocą w potrzebie, pociechą w cierpieniu, nadzieją w trudnościach życia. Najśw. Panna Maryja będzie jej Matką najtkliwszą. Święci i Święte Pańskie będą jej braćmi i siostrami. Świętych Obcowanie zastąpi jej życie rodzinne.

Pismo św. mówi: „Nie dobrze jest człowiekowi samemu na świecie". Ale błogosławiony ten, który zdoła wypełnić samotność życia Bogiem, pracą i ofiarą. Dni jego będą jako pełne kłosy, które Gospodarz niebieski zgromadzi w śpichlerzach swoich. Amen.

Ks. Jan Zaręba

MÓDL SIĘ CZĘSTO I DOBRZE

(nauka do mężczyzn)

I. Istota modlitwy.
II. Dlaczego powinniśmy się modlić.
III. Jak powinniśmy się modlić.
IV. Pielęgnujmy naszą codzienną modlitwę

I. a) Zapędzeni pracą zapominamy, że całkowita mądrość życiowa mieści się nie tylko w nakazie „pracuj", ale i w drugim bliźniaczo z nim spiętym, dzierżącym pierwszeństwo — nakazie: „módl się". Tak często zapoznajemy modlitwę, bo nie znamy jej istoty i tych wszystkich korzyści, które z niej płyną.

b) Czymże więc jest modlitwa? — Jest ona pobożnym wzniesieniem duszy do Boga. Modlitwa, jak mówimy inaczej, jest rozmową z Bogiem. Piękna jest wtedy nasza mowa, kiedy używamy jej do wyrażenia swych uczuć, stanu naszej duszy — wobec Boga. Stąd też modlitwa jest najwspanialszym dziełem, najpiękniejszą pracą jaką wykonać może duch ludzki.

c) Modlitwa nasza może być całkowicie wewnętrzna lub też wyrażać się na zewnątrz (modlitwa ustna). Piękną jest nasza modlitwa, kiedy w niej uznajemy swą niemoc i prosimy Boga o siłę, kiedy w niej przepraszamy Boga za popełnione winy. Piękniejsza jest wtedy, gdy przejęci wdzięcznością, dziękujemy Bogu za dary odebrane. Lecz najpiękniejsza jest wtedy, gdy uwielbiamy Boga, naszego Stwórcę, Pana i najlepszego Ojca. — Kiedy się modlimy w domu lub w kościele bez udziału kapłanów, wtedy modlitwa nasza jest prywatna. Gdy uczestniczymy w modlitwie składanej przez sługi Kościoła i w imieniu Kościoła, wtedy modlitwa ta jest publiczna.

II. a) Modlimy się, bo modlitwa łączy nas ze źródłem dobra, mocy i świętości — z Bogiem. Przez modlitwę wyznajemy dobroć Bożą i Jego nad nami opatrzność. Przez modlitwę stajemy się lepszymi, silniejszymi duchowo i świętszymi. W modlitwie jest nasza wielkość. Piękne i wzniosłe jest posłannictwo ojca rodziny. Spełni je godnie, gdy będzie się modlił. Człowiek modlący się, a potem działający, staje się jakoby przedłużeniem twórczego ramienia Bożego.

b) Modlimy się, bo modlitwa jest naszym obowiązkiem. „Jam jest Pan, Bóg twój". W tym przykazaniu mieści się obowiązek naszej modlitwy do Boga. Przez modlitwę uznajemy Boga naszym Panem. W naszej modlitwie przepraszamy Boga za winy i prosimy o łaski

potrzebne, dziękujemy za dobrodziejstwa tak szczodrze nam rozdzielane i uwielbiamy naszego Pana.

c) Modlimy się, bo modlitwa jest dla nas zaszczytem. Bo czyż nie jest to wielki zaszczyt, gdy stworzenie i pył ziemi, w każdej chwili, w jakiejkolwiek sprawie może mieć posłuchanie przed Bożym Majestatem? Nie potrzeba mi żadnych poleceń ani wyczekiwania. Nie wysyła Bóg swego sekretarza do mnie, ale sam wysłuchuje mej sprawy, przyjmuje mnie osobiście.

d) Modlimy się, bo modlitwa jest dla nas źródłem siły i wytrwania w dobrym. „Gdzie nie dochodzą promienie słońca, tam dochodzi lekarz" — mówi przysłowie. Ciało potrzebuje światła i ciepła słonecznego. I dusza potrzebuje swego światła. A tym światłem jest dla niej modlitwa. Ona jest oddechem duszy. Ona ożywia, podnosi i oczyszcza duszę. Dlatego to powiedział św. Augustyn: „Ten, kto potrafi dobrze się modlić, ten potrafi dobrze żyć. Kto zaniedbuje modlitwę, rozpoczyna życie grzeszne".

III. a) Modlić się trzeba wytrwale. Nie raz, nie dwa razy w życiu, ale codziennie. Najpiękniejszym przykładem dla nas jest Chrystus, który tak często trwał na modlitwie. Przykładem Matka Boża. Przykładem Święci Pańscy.

b) Modlić się nam trzeba z wiarą wielką i ufnością. Zaufajmy Bożej dobroci i miłosierdziu i Bożej wszechmocy. „Wszystko, o cokolwiek w modlitwie prosicie, wierzcie, że otrzymacie, a stanie się wam" (Mrk. 11, 24).

c) Modlić się powinniśmy nabożnie i w skupieniu. W czasie modlitwy — rozmowy z Bogiem pozostawmy wszystkie sprawy doczesne na uboczu. Dość ma dzień swoich trudów i kłopotów. Zajmijmy się na modlitwie jedynie Bogiem i sprawami naszej duszy.

d) Modlitwa nasza powinna być pokorna. Grzeszni jesteśmy. Potrzebujemy Bożej pomocy. Nie jesteśmy godni, by z Bogiem rozmawiać. Bóg w swym miłosierdziu dopuszcza nas do tej rozmowy. Przyjmijmy ten zaszczyt z pokorą.

e) Prosząc Boga o jakąś rzecz choćby nam najdroższą i według naszego mniemania najpotrzebniejszą, zdajmy się całkowicie na wolę Bożą.

IV. Nie zaniedbujmy naszej codziennej modlitwy. Ważna jest praca. Ważniejsza modlitwa. I dlatego św. Benedykt powiedział: „módl się i pracuj". I nasza praca może być modlitwą, gdy ją dla Boga spełniamy. Szczególnie ważna w naszym codziennym życiu jest nasza modlitwa poranna i wieczorna. Jakże to piękny, chrześcijański zwyczaj,

Modlący się codziennie rano i wieczorem ojciec rodziny jest najlepszym nauczycielem modlitwy dla swych dzieci. Pamiętam jeszcze dziś, po latach już wielu, ten piękny obraz, gdy ojciec klękał po całodziennej pracy do wieczornego pacierza. Wtedy nastawała cisza w domu. Modliliśmy się razem z ojcem. Takiego obrazu nie zapomina się nigdy.

Historia głosi, że król hiszpański i cesarz rzymski Karol V, nad którego państwem nie zachodziło słońce, nie zaniedbywał nigdy codziennej modlitwy. Pewnego rana, kiedy król się modlił, przybyło na audiencję poselstwo francuskie. Król oświadczył: „sam jestem na audiencji, niech panowie zaczekają". Posłowie czekali. Ale po pewnym czasie znów posłali do króla. Karol kazał im oznajmić: „Panowie gorliwie pracują dla swego króla, ale ja też nie z mniejszą gorliwością służę swemu Bogu — niech czekają".

Pamiętaj i ty o twej codziennej modlitwie. Amen.

Ks. Teofil Ratajczak

WYCHOWANIE DZIECI DO MODLITWY

(nauka do matek)

Jedną z najpiękniejszych scen ewangelicznych będzie zapewne ta, gdy matki przynoszą do P. Jezusa swe dziatki, a Boski Mistrz tuli je do Siebie i błogosławi.

Zadaniem matki jest prowadzić dzieci do Jezusa. Każda matka pragnie widzieć dziecko swoje szczęśliwym. Czy jednak czyni wszystko, co jest konieczne do zbudowania szczęśliwej przyszłości dziecka? Duch ludzki potrzebuje i pragnie czegoś doskonałego, nieskończonego. Serce ludzkie stworzone jest dla Boga i tylko Bóg napełnić je może. Gdy człowiek na modlitwie ze swym Stwórcą przestaje, gdy rozważa doskonałości Boże i swoje życie pragnie ukształtować według tego najdoskonalszego wzoru — wówczas dusza się uszlachetnia, podnosi w górę i udoskonala. Wpływ modlitwy na wychowanie dziecka, na jego wyrobienie moralne jest bardzo wielki i tak widoczny, że nie potrzeba tego udowadniać. Odpowiedzmy sobie na pytanie: jak zaprawiać dziecko do modlitwy i jak wyrabiać w nim ducha modlitwy.

1. Na pierwszym miejscu trzeba postawić własny przykład rodziców, a zwłaszcza matki. Niejeden zacny człowiek z rozrzewnieniem wspomina o swej matce świętej, pobożnej, która go uczyła ręce składać i robić znak krzyża św. Rozmodlone oczy, skupione i poważne oblicze rodziców mówią dziecku, co się dzieje w ich duszach. Pęd

naśladowczy zaczyna działać, dziecko chce dorównać starszym i samo próbuje chwalić Boga na swój sposób.

Wiadomo, że dzieci bystro obserwują, ich uwadze nie ujdzie ani pobożna postawa matki przy modlitwie ani serdeczny ton jej głosu, ton który na zawsze utkwi w pamięci.

Matka niepobożna, po ludzku mówiąc, nie wychowa swego dziecka religijnie, choćby dlatego, że nie można dać drugiemu tego, czego się nie posiada. A wtedy może się zdarzyć, że uczący religii usłyszy taką odpowiedź: „mama mówiła, że nie ma czasu się modlić".

2. Gdy dziecko podrasta, matka przyzwyczaja je do modlitwy r e g u l a r n e j. Codzienny pacierz ranny i wieczorny, modlitwy przed i po jedzeniu muszą wejść w przyzwyczajenie tak, że jedzenie bez podniesienia myśli do Boga nie będzie smakować, że wieczorem dziecko nie zaśnie bez pacierza. Do modlitwy porannej dołączyć należy wzbudzenie czystej intencji i ofiarowanie całego dnia Bogu. Przy modlitwie wieczornej miejsce czystej intencji zajmie dziękczynienie, akt żalu i postanowienie poprawy, modlitwa do Anioła Stróża. Najlepiej uczyć wcześnie takich modlitw, które by mogły towarzyszyć człowiekowi przez całe życie. Unikać jednak tych czułostkowych wyrażeń jak „Bozinka", „Jezusek" itp.

Dzieci łatwo uczą się formy wierszowanej modlitw, np.:

„Myśli, słowa, sprawy moje,
Poświęcam, Boże, na chwałę Twoją".

3. Gdy chodzi o małe dzieci, wskazane są modlitwy k r ó t k i e aczkolwiek częstsze. Zbyt długa modlitwa powoduje u dziecka zmęczenie i niezadowolenie. Ta sama uwaga dotyczy prowadzenia małych dzieci do kościoła. Dłuższe nabożeństwa mogą dziecko zniechęcić do modlitwy i w umyśle jego skojarzy się z nabożeństwem wrażenie nudy i niesmaku. Z drugiej strony trzeba dziecko jak najrychlej do świątyni prowadzić. Chociaż ono nie pojmuje mszy św. i ceremonii kościelnych, to widzi przecież kapłana w innym uroczystym stroju przed ołtarzem, błyszczą kielichy i monstrancja, odzywają się dzwonki, wznoszą się wonne kadzidła, grzmią organy, ludzie śpiewają — wszystko to razem stanowi wielkie przeżycie religijne dla wrażliwego serca dziecięcego. Niejeden chłopiec po powrocie do domu naśladuje księdza i odprawia nabożeństwo w domu.

4. Trzeba zaprawiać dzieci do modlitwy p o b o ż n e j. Pomocne są w tym względzie różne środki. P r z e d modlitwą dziecka matka może powiedzieć: „Pomódlmy się teraz o to, abyśmy dobrze przeżyli dzisiejszy dzień", albo „pomyśl, że Bóg patrzy na ciebie, będziesz

z Bogiem rozmawiał..." i inne podobne trafne zdania, które pomagają do skupienia.

W czasie modlitwy musi dokoła panować spokój. Matka sama nie będzie przeszkadzała skupieniu przez różne uboczne uwagi, czy zachowanie się hałaśliwe. Po modlitwie niech matka dopilnuje, aby jakąś chwilę panowało milczenie i nastrój religijny. Razi bardzo wypowiadanie zaraz po wstaniu z klęczek jakichś zdań zbyt codziennych lub trywialnych.

Pobożna jest modlitwa wówczas, gdy rozumiemy to, co do Boga mówimy. Dziecko mniejsze z trudnością się na to zdobywa. Nie jest jednak konieczną rzeczą, żeby dziecko wszystkie słowa pacierza dokładnie rozumiało. Wystarczy, gdy przeczuwa treść i wie, że się do Boga modli. (Wszak ministranci mówią po łacinie). Później, w czasie nauki religii nauczy się dokładnie rozumieć modlitwy wyuczone na pamięć w dzieciństwie. Mimo to przy uczeniu pacierza pilnie baczyć należy, aby dzieci wymawiały każde słowo wyraźnie, łatwo bowiem dochodzi do przekręceń. („Módl się za nami grzecznymi", „umęczon pod pączkiem Piłatem", „Świętych obcałowanie"). Niech się modlą powoli. Lepiej mniej słów, niż prędkie klepanie. Rozum i wyobraźnia nie mogą podążyć za zbyt szybko wypowiadanymi słowami.

Najważniejszą częścią pacierza jest „Ojcze nasz". Matka dołoży wszelkich starań, aby powoli i stopniowo tłumaczyć dzieciom treść tej najwznioślejszej modlitwy. Oczywiście wpierw postara się sama ją przemyśleć.

5. Dziecko umiejące gładko czytać, powinno posiadać własną książeczkę do nabożeństwa, z którą się zżyje i dobrze zapozna. Przy kupnie książki zważa się mniej na piękną oprawę, lecz przede wszystkim na treść. Zwykle przed I. komunią św. księża sprowadzają jednolite książki dla wszystkich dzieci. Polecenia godnym jest „Mszalik dla dziatwy" — ks. Z. Bielawskiego ze Lwowa, dostosowany do poziomu dzieci szkolnych. Dobrze opracowana jest w tej książeczce msza św. oraz modlitwy do spowiedzi i komunii św.

Wcześnie, najlepiej z okazji I. komunii św., niech otrzyma dziecko różaniec.

Mówiąc o książeczkach do nabożeństwa, trzeba wspomnieć o t. zw. modlitewnikach obrazkowych. Wiadomo, że dzieci mniejsze, słabo albo wcale nie czytające, nudzą się w kościele, rozmawiają lub robią psoty. Trzeba je odpowiednio zająć i wykorzystać zamiłowanie dziecka do oglądania obrazków. Niech matka uzbiera kilkanaście czy więcej obrazków religijnych, przedstawiających sceny z życia P. Jezusa, Matki Boskiej i świętych albo ważne chwile z mszy św. i niech je zszyje

razem w książeczkę. Książeczki takie, uzmysławiające główne prawdy wiary, zajmują żywą wyobraźnię dziecka, dają mu poglądową lekcję modlitwy i pomagają w młodej duszyczce wytworzyć nastrój pobożny. Będzie to również obcowanie z Bogiem i modlitwa dziecięca.

Ważnym obowiązkiem rodziców jest usilne staranie, aby dzieci zarówno w wieku szkolnym jak i po opuszczeniu szkoły uczęszczały regularnie do kościoła i brały udział w nabożeństwach. Wpływ matki może tu najwięcej oddziałać. Od wczesnego dzieciństwa należy wpajać dziecku nabożeństwo do Matki Najśw., które już niejednego uratowało od zejścia na manowce.

Na końcu jeszcze jedna ważna uwaga. Dziecko będzie cenić i kochać modlitwę w tej rodzinie, gdzie jest zwyczaj codziennej wspólnej modlitwy wieczornej, gdzie ojciec i matka razem z dziećmi wspólnie klękają do wieczornego pacierza. W takim domu wychowaniu dzieci towarzyszyć będzie szczególne błogosławieństwo Boże.

Drogie Matki! Prowadźcie dzieci i młodzież do Jezusa, uczcie ich modlitwy, a Jezus sam będzie kształtował młode dusze.

„Kto dobrze się modli, ten dobrze żyje".

Komunikaty Redakcji i Administracji

1. „Wiadomości Duszpasterskie" — ukazują się w odstępach miesięcznych. Cena za jeden numer zasadniczo 1.50 zł.
2. P. T. Abonentów prosimy o:

   a) wpłacenie prenumeraty możliwie do końca br. tj. za 8 zeszytów łącznie z obecnym á 150,— zł, czyli razem 1.200,— zł, albo przynajmniej z góry za jeden numer dla wzajemnego ułatwienia, do 20-tego poprzedzającego miesiąca. W wypadku nie uregulowania dwóch numerów trzeci wyślemy za pobraniem pocztowym na łączną sumę zł 450,—.

   b) współpracę z Redakcją przez nadsyłanie artykułów i uwag w zakresie duszpasterstwa, oraz szkiców kazań stanowych. Za materiały wydrukowane przekazujemy numer autorski i honorarium.

Redaktor: ks. dr Maksymilian Rode. — Adres Redakcji i Administracji: Poznań, Ostrów Tumski 2, tel. 37-39; 37-40. — PKO V-11333. — Wydawca: Referat Duszpasterski Kurii Metropolitalnej w Poznaniu

2344 Państw. Pozn. Zakł. Graf. Okr. Pol. Oddz. Poznań, Wybickiego 6 (Papierodruk) K-1-11763